Świat Kobiecy

ROK X | 5 SIERPNIA 1930 R. | N-R 16



ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 16 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 SIERPNIA 1930 ROKU

ŚMIERĆ W CZARNOLESIE

RZECZ O EJSMONDZIE

GŁĘBOKIEMI, chłodnemi cieniami wabiła puszcza, kusiła sielską szeleszczącą zielenią i głuchym tokiem cietrzewi drzewiła się w wieśnem sercu młodego myśliwca. Słońcem, rozkwitającą radością uśmiechała się w wilgotnych haszczach przyczajona Przygoda o malinowych, nienasytnych ustach, wiodąc w utajoną gąszcz mateczników puszczy i duszy polskiej, ukazując rdzeń nieodkryty żywotów drzewich i baraszkując płochliwie i umykając wykrętnie.

Jedna jedyna ścieżyna, jedna z duszy wywiedziona ścieża umiłowania zielonego żywiołu dążyła w onę głąb żyzną — i cóż dziwnego, że oto w tym czarnolesie żywym napotkały się mimochcąc, jakby wzajemnie się oczekujące, jakby się wzajem nawołujące duchy, z tej samej gleby wyrosłe, tej samej ziemi rzeźwione oddechem — Jana Kochanowskiego, staropolskiego piewcy „wieśnych pożytków i wczasów" i Juljana Ejsmonda.

Cóż dziwnego, że właśnie ów współczesny, rasowy poeta, dla którego lipa — najpiękniejszy może symbol polskiego żywiołu — „była jedynem drzewem, które ma serce, które ma dużo serc. Tyle — ile liści. Bo każdy liść jej jest kochającem sercem, a każdy kwiat jest samą słodyczą" — że ów śpiewak słoneczny zabłądził pod lipę czarnoleską* i pod jej cieniem ukojnym trud podjął najsłodszy — trud przybrania w dźwięczącą krasę słowieńskiego rymu czarujących melodyj łacińskiej muzy poety z Czarnolasu.

Tak się złożyło, że odtąd wyznaniem wiary Ejsmonda miały się stać słowa Kochanowskiego:

„W glebę tłustą y czarną
zacznę siać złote ziarno
przyszłych plonów promienną nadzieię.
A przy boku mym będzie
na wsi zawsze y wszędzie
ta za którą z affektu szaleię".

Tą zaś, za którą szalał z „affektu" Juljan Ejsmond, była właśnie i nadewszystko poezja staropolska, o której mówi, że „była uosobieniem młodości. Nie był to kamień przydrożny, trwający w bezruchu, ale rwący strumień wiosennych, wezbranych wód, strumień o kwietnych brzegach, w którym odbijało się niebo uśmiechnięte".

To wszystko, co Kochanowskiemu podyktowała muza miłosna pod szklącem błękitną emalją lazuru niebem boskiej Padovy, czy w czarującym, oszałamiającym wirze Paryża, co się najpierwszemu w Polszcze poecie frywolnym zdźwiękiem łacińskich sylab splotło przy puharze, lub wyśpiewało górnie o chwale ojczyzny czy cnotach i męstwie jej mężów udałem — one elegje o miłości lękliwej i wiernej, o Lidiey i Pazyphili, o skargach Likota i Lykoris — one fraszki niefrasobliwe i pieśni chwalebne o Krzysztofie Tarnowskim, Ossolińskim, Radziwille Czarnym i Tęczyńskim Janie, do króla Zygmunta Augusta i Batorego po wojnie moskiewskiej pieśń zwycięska i na zdobycie Połocka i sromotna odprawa „Gallo erocitanti" a nadewszystko wspaniała bohaterska pieśń o Wandzie, co „skacze do wiślaney toni" — wszystko to mistrzowską i miłującą dłonią Ejsmonda wskrzeszone z martwych — nową i jakże świeżą krasą opromieniło wiekowy laur na czole wielkiego poety.

Trudno doprawdy nie powtórzyć tu za Słowackim:

„I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał".

I istotnie, książką tą, ostatnią, za życia wydaną, ukazał Ejsmond polskiemu społeczeństwu nową nieznaną strunę lutni czarnoleskiej, każąc jej nutą słowieńską wtórzyć łacińskim zachwytom pierwszego w Polsce Kochanka Muz i wytwornego smakosza krynicy hipokreńskiej.

Ale ów niepospolity myśliwiec-gawędziarz, ów świetny i czarujący wskrzesiciel bajki i satyry polskiej na miarę mistrza La Fontaine'a, frywolnego biskupa warmińskiego Krasickiego — czy jednego z najzacniejszych w Polsce znawców tajemnic poetyckiego rzemiosła — Trembeckiego — zapragnął oto sprzeniewierzyć się zieleni szumiącej, kochającym sercom lipy tysiąclistnej — dla polskich wód lustrzanego czaru; zapragnął srebrną wędką wszędobylskiego pióra wyłowić zagubiony, szmerliwy uśmiech słonecznego nieba z rozeszklonych tęsknotą jeziorzanych toni i srebrnych podrygiwań strumyków i bełtów sędziwych rzek — zapragnął — jak wprzódzi żywoty drzew — wód polskich żywoty opiewać.

*

Po warszawskim Zjeździe P. E. N. Clubów, właśnie w czas czterechsetlecia urodzin Jana Kochanowskiego, zginął w katastrofie automobilowej Juljan Ejsmond. Kirowy poszum przeszedł po czarnolesie tatrzańskim, załopotały czarno świercze czuby na wietrze na ono odejście i poczęło się żałobne misterjum w żywicznym żywocie boru. A strumyki szemrzące opłakiwały rzewnie śmierć niedoczekanego piewcy.

WŁODZIMIERZ LEWIK

* Juljan Ejsmond: *„Pod lipą czarnoleską"*. Przekład najpiękniejszych wierszy łacińskich Jana Kochanowskiego. Księgarnia św. Wojciecha — Poznań 1930.

DYSKRECJA

NALEŻAŁOBY właściwie, dla podmurowania tych uwag, zacząć po staremu od Ezopa, który język uważał za rzecz najgorszą na świecie. Ale ponieważ wszyscy to już znamy, więc — nie słuchajmy. Zostawmy nieboszczyków w spokoju.

W dyskrecji idzie o nieczynność języka, natomiast zaś o czynność myśli, życzliwej bliźniemu i mądrej. *Si tacuisses, philosophus mansisses.* (Znowu do starożytnych — przez złe przyzwyczajenie.) A w praktyce bywa często naodwrót: język paple siłą — bezwładności, gdy myśl śpi snem niezamąconym.

W dyskrecji można uczynić dystynkcję: wobec siebie samego i wobec innych. Zdawałoby się, że ta pierwsza: dyskrecja wobec siebie samego, rozumie się sama przez się; wszak *prima charitas ab ego* (znowu!). Jednakże — są to pozory. Bardzo niewielu ludzi umie o sobie zarówno mądrze milczeć, miłościwie osłaniać swą istność, jak i mądrze o sobie mówić. Powiedział Słowacki: „Głupi! o sobie dobrze mów!" Zapewne — ale nie tak to łatwo, zwłaszcza głupiemu. Ludzie najczęściej opowiadają o sobie zgoła co innego, niż myślą, że opowiadają — zauważył pewien pisarz z frapującą bystrością. Często też opowiadają wogóle zupełnie niepotrzebnie, gdy prymitywny takt wobec siebie nakazywałby milczenie. Opowiadają o swych porażkach życiowych przygodnym, przelotnym i świeżym znajomym, wprawiając ich w kłopot — opowiadają o swych przewagach, sukcesach, dowcipie, a uprzejmie uśmiechnięty słuchacz myśli: „O durniu!" Opowiadają szczegółowo o swych intymnych stosunkach, a słuchacz, spoglądając ze zdumieniem, myśli: „Cham!"

Dyskrecja wobec innych ma zakres szerszy, niżby się zdawało. Ta prymitywna — jakże rzadko przestrzegana! — polega na zatrzymywaniu przy sobie wiadomości, udzielonych z tem zastrzeżeniem. Ale istnieje jeszcze inna, dyktowana przez subtelność, dobroć i rozum: nierozgłaszanie niczego, coby danej osobie mogło sprawić przykrość. Niezawsze idzie o sensację — często o rzeczy drobne, dla słuchacza bez znaczenia, dla owego bezbronnego przedmiotu rozmowy bynajmniej nieobojętne. Kaleczy się go w takiej gadaninie rozmaicie: czasem tępym scyzorykiem, czasem idjotyczną szpilką. Poco się to robi? Z trzech doniosłych przyczyn: 1) ażeby o czemś mówić, 2) aby język nie próżnował — a głównie 3) z bezmyślności.

Ptasi mózg też musi przecie dawać dowody swego istnienia.

Dyskrecja płynie z poszanowania cudzej indywidualności. Wyobrażam sobie, że w ustroju komunistycznym niema miejsca na dyskrecję. Wszystko jest wspólne — myśli podlegają cłu. Ale tam, gdzie obowiązuje jeszcze prawo własności, wystrzegajmy się natręctwa. Wchodzenie do pokoju, do którego schronił się ktoś ze swym smutkiem czy troską, nahalne odcyfrowywanie rysów twarzy, badanie wrażeń — jest gruboskórnością, o którą potykamy się co krok. Zadawanie pytań — wieczne wywiadowstwo — jest bardzo znaną i również bardzo grubą formą niedyskrecji. Nietylko wtedy, gdy idzie o sprawy intymne, szczególnie bliskie, natury poufnej. Wszelkie wogóle dopytywanie się i branie na spytki jest nahalnością.

Bezstronność nakazuje stwierdzić, że istnieje jeszcze taki gatunek ludzi, którzy opowiadając coś, proszą: „Tylko nie powtórz nikomu — bardzo mi na tem zależy!" Naiwny słuchacz obiecuje i dochowuje święcie. Aż tu ten sam ścisły sekret powtarza mu „pod dyskrecją" drugi, trzeci i dziesiąty znajomek. Stąd pewnie wywodzi się interesująca kontradykcja: publiczna tajemnica.

Jak w wielu innych sprawach życia, tak i w dyskrecji sprawdza się przysłowie, że tylko ten potrafi dogodzić drugiemu, kto umie dogodzić sobie. Kto nie skrzywdzi gadulstwem siebie samego, ten oszczędzi też innych.

Na zakończenie pewien komunał (pod wpływem świeżej lektury artykułu Skiwskiego: „Z fizjologji komunału"): Kobiety mają długi język. Kto zważy, ile szczegółów „poufnych" posiedzeń przeciekło w uszy postronne, kto słyszał, ile chlapią mężczyźni o kobietach, nic sobie nie robiąc z *gentilezzy,* a raczej uwzględniając prawo silniejszego, kto wspomni niedyskrecje polityczne — oceni gołosłowność wymienionego komunału i sprostuje go w tym sensie: W dyskrecji waży nie płeć, ale — język.

LYNX

CENZURA ANGIELSKA I JEJ OFIARY

JEDEN ze świetnych publicystów i polityków angielskich Norman Douglas zlikwidował obecnie wszystkie swoje sprawy, wzgardził karjerą i utrwalonem powodzeniem, aby osiedlić się na stałe we Florencji i oddać się niezależnej pracy pisarskiej zdala od wydawców i dziennikarzy, zdala od plotek i intryg, a przedewszystkiem zdala od bezlitosnej i niezmiernie ograniczonej cenzury angielskiej. Jego rewelacyjna książka o zmierzchu Europy ukazała się jako prywatne wydawnictwo i tylko jakiemiś ubocznemi drogami przedostaje się do ojczyzny autora.

Nie jest to bynajmniej fakt odosobniony.

Cenzura angielska, opierająca się o tak zwaną obowiązującą moralność, jest w tej chwili chyba najbardziej bezwzględnym nieprzyjacielem książki nowej, poruszającej w sposób śmiały i bardziej bezwzględny nowoczesne problemy.

Wydawca angielski, któremu grożą bardzo dotkliwe kary za obrazę t. zw. moralności publicznej, kreśli w każdym rękopisie z niesłychaną energją to wszystko, co wydaje mu się niebezpiecznem lub nawet tylko podejrzanem.

Od takiej operacji wolni są jedynie autorzy tej miary, co Galsworthy, Wells, Shaw, którzy posiadają przywilej pisania wszystkiego otwarcie i bez obsłonek. Inni natomiast muszą najczęściej przemycać poglądy niezależne w sposób dyskretny i niemal konspiracyjny.

Dotyczy to zwłaszcza tego wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z zagadnieniami erotycznemi.

Powieść angielska była dotychczas pod tym względem przesadnie skromna. Uformowała się w niej nawet osobliwa pruderja o ckliwo-słodkim smaczku, która uczyniła literaturę angielską jak najbardziej odpowiednią dla podrastających panienek całego świata. Z drugiej strony mieliśmy do czynienia z twórczością o wysokich walorach intelektualnych albo o wielkim i pełnym barwy rozmachu opisowym, gdzie miłość była zazwyczaj drobnym i podrzędnym wątkiem. I dlatego w literaturze angielskiej panowała zawsze temperatura tak chłodna, jak chłodnym jest publiczny pocałunek dwojga narzeczonych w Hyde Parku.

Dopiero czasy powojenne przyniosły znaczne pod tym względem zmiany.

Opinja angielska, która przeżyła niegdyś skandaliczną aferę Oskara Wilde'a, ma obecnie do czynienia z coraz to nowym atakiem na jej klasyczne umiarkowanie. We współczesnej literaturze angielskiej pojawia się z niepohamowaną siłą niezależny pęd do zajmowania się temi wszystkiemi problemami, które ukrywały się tak długo pod płaszczykiem konwencjonalnej obłudy.

Wydaje się poprostu nieraz, jakbyśmy mieli do czynienia ze złośliwem zadośćuczynieniem za zbyt długą wstrzemięźliwość.

I oto mnoży się coraz bardziej w Anglji ilość książek skonfiskowanych, zakazanych, bojkotowanych, albo zniekształconych zupełnie przez liczne wykropkowania...

Książki te poznaje się dopiero naprawdę w tłumaczeniu francuskiem lub niemieckiem...

Jednem z takich enfants terribles był zmarły niedawno na suchoty znakomity powieściopisarz D. H. Lawrence. Jego twórczość, zwłaszcza w ostatniej fazie, była przez oficjalną Anglję bezapelacyjnie potępiona. Książki Lawrence'a ukazywały się w Paryżu i cieszyły się wielkiem powodzeniem u Anglików odwiedzających stolicę nadsekwańską.

Coprawda erotyzm tego pisarza jest niesłychanie wybujały. Niektóre sceny np. w ostatniej jego powieści p. t.: „Kochanek lady Chatterley" przewyższają wszystko, co się dotychczas ukazało w najbardziej nawet skandalicznych romansach francuskich. Lawrence jednak zawsze twierdził, że jaskrawe sceny erotyczne są mu koniecznie potrzebne do tem silniejszego potępienia zła i przeprowadzenia idei naprawdę szlachetnej.

Trudno natomiast zrozumieć, w czem zawiniła wobec szacownej opinji angielskiej powieściopisarka Retcliff Hall, której książka p. t.: „Źródło samotności" została nietylko skonfiskowana i zakazana, ale nawet publicznie spalona.

Zapewne... porusza ona w niej zagadnienia dosyć drażliwe, ale czyni to w formie tak subtelnej i umiejętnej, że trzeba nadmiernej pruderji, aby wydać tak bezlitosny wyrok na tę ciekawą powieść.

Młody beletrysta angielski Aldington jest jeszcze narazie w Anglji tolerowany, ale jego powieść o ironicznym tytule: „Śmierć bohatera" ukazała się mocno okrojona.

Roztropny wydawca usunął cały szereg miejsc drażliwych, Aldington zaś nie zgodził się na żadne przeróbki i oświadczył, że woli widzieć swoje dzieło okaleczone, niż zniekształcone i zmienione zupełnie. „Śmierć bohatera" jest gwałtownym i śmiałym atakiem na obłudę i małość czasów wiktorjańskich. Aldington ukazuje nieczułość serc, nikczemność ludzkich instynktów i zakłamanie wewnętrzne.

Na tem tle rozpaczliwem toczy się życie schyłkowca, który prawie wszystko już przefilozofował i we wszystko już zwątpił. W takiej sytuacji wojna wydaje mu się wybawieniem i ostateczną ucieczką. Ale kiedy i to zawodzi, nie pozostaje nic innego jak rzucić się rozmyślnie w ogień karabinów maszynowych i zginąć śmiercią „bohatera"...

Możnaby przytoczyć jeszcze wiele tego rodzaju przykładów... Wszystkie one wskazują, że literatura angielska, tak jak wszystkie inne, zaczyna przechodzić okres silnego wstrząśnienia — wstrząśnienia, które rozpoczyna nowy okres twórczości. Wojenna i powojenna psychoza zdaje się wymagać jako antidotum prawdy i szczerości zupełnej.

Ta prawda bywa czasami może zbyt brutalną... Ale trudno!

STANISŁAW DZIKOWSKI

TEATR „JASKÓŁKA"

POSZUKIWANIE nowych form w sztuce łączy się ze zdobywaniem nowej treści. Nowa treść sama podchodzi blisko jako każdorazowa „dzisiejszość". Nowa treść i nowa forma są więc wypadkową każdej epoki i jeżeli tak jest, że każdą nowość w sztuce trzeba narzucać współczesnym, to przyczyną tego jest raczej bierny stosunek mas do sztuki, a nie jedynie wyprzedzanie teraźniejszości przez dzieła, czy ideologję twórców.

Mimo to walka o nową sztukę jest ciągła, a pewna suma wysiłków twórczych musi się zużywać na tę walkę. Każda rewizja w dziedzinie sztuki, każda reforma ma przeciw sobie podświadomie zorganizowany sprzeciw i niezrozumienie.



JANINA STRZELECKA
kierowniczka „Wydziału Kultury i Piękna" Z. P. O. K.

Stwierdziwszy schematyczność tych walk o uznanie nowych prądów w sztuce (i nietylko w sztuce!), pragnę tu przedstawić dzieje wysiłków nad stworzeniem nowej formy teatru dla dzieci. Nowej formy i nowej treści. Teatr dziecięcy czerpał bowiem zazwyczaj z olbrzymiej literatury bajkowej, wspomagając niejako wyobraźni dzieci. Muszę tu zresztą słów parę powiedzieć o bajkach dla dzieci. Karmiono niemi niebożątka wszystkich czasów, straszono niemi od kołyski. Czarowność i czarodziejstwo, fantastyczność i cudowność miały przecież na celu odrywanie umysłu i duszy dziecka od szarej codzienności. Bajka, która prawie zawsze zdążała do morału, potrafiła jednak zgromadzić tyle okrucieństw, przewrotności i zbrodniczości, że oddziaływała na dziecięcą wyobraźnię i psychikę raczej szkodliwie niż pouczająco Dziecko właśnie z bajki uczyło się poznawać zło, podane zresztą w najwymyślniejszej formie. Wprawdzie morał bajki usiłował łagodzić jej niemoralność, ale lęk przed złem realnem, przed demonizmem świata nierealnego nie dał się już nigdy usunąć. Sadyzm bajki przezwyciężał wszystkie morały i wszystkie etyczne wnioski.



HALINA STARSKA
kierowniczka teatru „Jaskółka"

Reforma „pedagogicznego postępowania" musiała więc uderzyć w bajkę, w jej znęcającą się fantastyczność. Żyjemy zresztą w epoce cudów, w epoce iszczących się utopij. Dzieją się rzeczy nadzwyczajne właśnie na jawie, w świetle dnia. Nadzwyczajność — zrozumiana i pojęta, widziana i przeżyta; usuwa w cień symbolikę bajek. Dziecko dzisiejsze, zdrowe i radosne, przeżywa realnie swoje marzenie, jest już samo obywatelem świata cudów. Siedmiomilowe buty — to przecież rekordy biegów, to raidy samochodowe. Skrzydła Ikara — to lot aeroplanów. Jaś i Małgosia zbłąkani w lesie — to chyba poradność skautów. A radjo? — jakaż bajka dorówna radju, niosącemu dźwięki świata?

Nadzwyczajność przychodzi więc do dzieci bezpośrednio, omijając ludożerców, czarownice, złe duchy i potwory. Wobec rzeczywistej cudowności znika lęk przed nieznanem. A zadaniem literatury dla dzieci jest teraz artystyczna transformacja rzeczywistości. W tej transformacji właśnie mieścić się musi entuzjazm poezji i dalekosiężna miara czynu. Genjusz człowieka staje się wyrazicielem ludzkiej moralności, a nieustraszoność i walka z przyrodą zdobywa dobro dla wszystkich, skoro wszystkie ludy świata łączą się w jedną rodzinę, są — ludzkością. Pojęcie równości i konieczność wzajemnej pomocy staje się prawdą i prawem a nie tylko idealistycznem rojeniem, nie tylko gołosłownym, zdobniczym sentymentalizmem.

Z takich to właśnie założeń wyszedł teatr dla młodzieży i dorosłych „Jaskółka", kiedy we wrześniu 1929 roku rozpoczął swoją działalność. Znana artystka dramatyczna p. Halina Starska zgrupowała niewielkie grono, złożone z aktorów „Reduty", krakowskiego Teatru im. Słowackiego, i warszawskiej „Placówki żywego słowa". Dekoracje robił art. malarz Iwo Gall, muzykę prof. Dziewulski, inscenizację pani Gallowa kierownictwo literackie objęła p. Helena Zakrzewska. W budżecie tej nowej artystycznej placówki najważniejszemi i stałemi pozycjami były — dobra wola, ochota do pracy i wiara, że dobry zamiar musi się udać. Tułając się ze scenki na scenkę, od miasta do miasta, grał teatr „Jaskółka" prześliczne rzeczy, bo „Złotą kaczkę" Zakrzewskiej i „Za siedmioma górami" Szelburg-Zarembiny, rewje ilustrujące utwory Konopnickiej i Mickiewicza, a wreszcie zupełnie oryginalnie ujętą i pojętą rewję „Czary i kolory", złożoną z utworów Janiny Morawskiej,

W listopadzie 1929 r. zainteresował się poczynaniami p. Starskiej Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, ściślej Wydział Kultury i Piękna Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Kierowniczką tego wydziału jest pani Janina Strzelecka, utalentowana publicystka, literatka i świetna mówczyni. Pani Strzelecka postanowiła poruszyć skały, żeby zapewnić byt „Jaskółce", żeby wesprzeć jej pracę nad stworzeniem nowego teatru dla dzieci. Trzeba było właśnie według owego schematu — rozpocząć walkę o nową formę i nową treść teatru dla dzieci. Nie szło to łatwo, wiadomo, takie sprawy nie idą zbyt łatwo! Ale kobieca energja musiała i tym razem odnieść zwycięstwo dla dobrej, nowej, współczesnej sprawy.

Rewja „Czary i kolory" zdobyła sobie odrazu wszystkie oporne serca. Mam tu na myśli serca dorosłych, bo dzieci odrazu wyczuły i zrozumiały współczesność tego teatru, stworzonego dla nich. Były przecież u siebie, w swoim kraju, widziały swoją prawdziwą bajkę, swoją radość i swój protest przeciw tej nieprawdziwej bajce dawnych symbolów, okrucieństw i ckliwości.

Teatr „Jaskółka" wyszedł ze swojej nierzeczywistości, ze swojej bajki głodu, biedy i trudów na realny grunt. Najpierw Ministerstwo Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. wydało okólniki do szkół, polecające „Jaskółkę", potem Magistrat Warszawy polecił szkołom powszechnym, żeby udzielały sal „Jaskółce". Wreszcie z funduszu Kultury Narodowej przyznano „Jaskółce" 20.000 zł subwencji, a w stylowym teatrze stanisławowskim „Pomarańczarnia" w Łazienkach „Jaskółka" osiedliła się na stałe. Tu jest jej baza operacyjna, bo „Jaskółka" ma usposobienie wędrowne i rusza na podboje świata dziecięcego ku peryferjom miasta i do większych środowisk na prowincję.

Zamiary teatru „Jaskółka" są sprecyzowane:

„Pragnieniem naszem — czytamy w prospekcie — jest stworzyć dla dzieci teatr, mający na celu systematyczną pracę sceniczną, prowadzoną przez stały zespół artystów z ustalonym kierunkiem i starannie przemyślaną ideologją."

Pani Starska jest też najlepszej myśli:

„Skoro przetrwaliśmy najgorsze, — mówi — przyszłość należy już do nas. Stajemy przed zupełnie nową dziedziną, bo chodzi nam nietylko o stronę czysto dekoracyjną, ale o bezpośredni, najżywszy kontakt z dzieckiem. Dlatego jeszcze większy nacisk położymy na t. zw. conferencierkę i zabawę dzieci, a rewja dla dzieci dawać będzie wzruszenia wesołe, będzie budzić uczuciowość, będzie kształcić piękno w duszy dziecka."

Zainteresowanie kół pedagogicznych rozszerza jeszcze bardziej teren działania i oddziaływania „Jaskółki".

„Nauczycielstwo szkół powszechnych — opowiada p. Strzelecka — stwierdziło świetny wpływ „Jaskółki" na dzieci. Stają się lepsze, grzeczniejsze, coś jakby zmienia się w ich serduszkach. Może to błazen Koko i jego pies, może barwy tęczy, a może rozmowa Sindbada z Allanem przemieniają tym dzieciom, których życie jest często szare i ubogie, smutek w zdrową radość."

Radosne dzieci, dzieci, które się nie lękają strachów w ciemności i nie lękają się złych ludzi — oto rezultat tej nowej sztuki dla dzieci. Na pewno będą dobrymi ludźmi i pójdą naprzód — siedmiomilowemi butami. Czary i kolory rzeczywistego świata — oto wszystko, oto cała nowa poezja!

HERMINJA NAGLEROWA

WIZYTA U CHARLIE CHAPLINA

ZDARZA się i to zdarza się dość często, że wśród potentatów wielkiego amerykańskiego świata finansowego wybuchają nagle zacięte bitwy. Najczęściej nie jest to szlachetna walka równych sił. Poprostu większość przeważająca i działająca zgodnie, rozprawia się w sposób gwałtowny i bezlitosny z jednostką niepotrzebną, niewygodną... Wszystko odbywa się za kulisami. Szeroka publiczność nie zna ani powodów walki, ani jej wcale nie widzi. Do świadomości ogółu dochodzi już tylko ostatni, stłumiony jęk umierającego człowieka.

Jeśli pisma amerykańskie zaczynają judzić przeciwko człowiekowi o jakiemś wielkiem nazwisku, to nie ulega wątpliwości, że wyrok śmierci już nań zapadł. Ale kto sprawę osądził, kto wyrok uprawomocnił — znowuż niewiadomo. Ci, którzy rozstrzygają w Ameryce o losie najpotężniejszych ludzi, zawsze działają w ukryciu. Ich metoda przypomina wenecką „radę dziesięciu", która obradowała w czarnych maskach. Skazany przez nich człowiek zostaje usunięty w sposób systematyczny ze wszystkich dziedzin życia. Wreszcie szeroka publiczność dowiaduje się, że ten lub ów sławny człowiek zmarł nagle naturalną śmiercią. W ten sposób schodzą z areny swojej działalności i pogrążają się w ciemną otchłań politycy, królowie giełdy, wielcy przemysłowcy i t. d.

W ten sposób miał zginąć także fenomenalny genjusz filmowy, artysta ukochany nietylko przez Amerykę, ale i przez cały świat — jednem słowem: Charlie Chaplin.

Niewidoczna, straszliwa ręka chwyciła go już za gardło i poczęła dusić.

Żona wytoczyła mu skandaliczny proces rozwodowy. Oskarżano go o wszystkie siedem grzechów głównych. Sądy, adwokaci i cała gromada żarłocznych łupiskórów zabierała mu pod rozmaitemi pozorami olbrzymie sumy pieniędzy. Wreszcie Chaplin zachorował poważnie, a sprzedawcy gazet wykrzykiwali już na Broadwayu: „Samobójstwo Charlie Chaplina..."

W tej całej aferze proces rozwodowy był tylko dekoracją wysuniętą na przód sceny — dekoracją widoczną dla mas. Ale właściwa walka, walka magnatów filmowych z upartym i samodzielnym Charlie Chaplinem, który nie chciał tańczyć tak, jak mu zagrają, toczyła się za kulisami, niewidoczna dla ogółu, straszliwa w swojej bezwzględności.

Na szczęście nie udało się zniszczyć tego człowieka. Chaplin ocalał i zachował swoją niezawisłość.

I oto Chaplin mieszka po staremu w Hollywood wśród swoich małych domków krytych czerwoną dachówką.

Odwiedzić go bardzo trudno. Wizyta u Chaplina jest dla ludzi obcych niemal zupełnie wykluczona. Chaplin współżyje tylko z garstką wybranych osób. Wszyscy inni, którzy twierdzą, że są jego przyjaciółmi, widzieli go w najlepszym razie w restauracji podczas kolacji.

A jednak zdarzają się rzeczy nieprawdopodobne. Znakomity dziennikarz niemiecki Egon Erwin Kisch opisuje w swojej książce p. t.: „Raj amerykański", jak Chaplina odwiedził i jak się z nim zaprzyjaźnił. Ale Mr. Kisch miał możnego protektora. Oto do Chaplina wprowadził go sławny powieściopisarz amerykański Upton Sinclair.

Samotność Charlie Chaplina nie jest dziwactwem ani pozą — jest potrzebą, jedyną możliwością istnienia. Codziennie bowiem dobija się do „Chaplins Studio" co najmniej setka osób. Jedni chcą mu wyrazić swój podziw, drudzy przychodzą z nadzwyczajnemi pomysłami, a reszta chce poprostu „małej pożyczki".

Tymczasem Chaplin pracuje z niesłychaną zawziętością, pracuje nad nowym filmem. „City ligts" nazywa się ten film i jest jakby bajką rzuconą na tło wielkiego miasta. Jak zwykle, marzenia subtelne zostały ukryte w formie groteskowej.

Kiedy Sinclair i Kisch przybyli do chaplinowskiego studja film, którego czwarta część zaledwo była gotowa, utknął na martwym punkcie.

Zmartwiony Chaplin ukazał się w swoim charakterystycznym stroju i odrazu zaprosił swoich gości do współpracy.

Pokazano im to, co było gotowego. Jakieś czterysta metrów, Ale kiedy potem zażądano dokładnego streszczenia tego fragmentu, okazało się, że ci pierwsi widzowie nie zwrócili uwagi na szczegóły niezmiernie ważne dla dalszej akcji.

A więc film jest źle zrobiony.

— Do djabła! — zawołał Chaplin. — Wszystko do niczego. Musimy kręcić na nowo.

I oto przez osiem dni trwała wytężona praca reżysera, dramaturga i operatora. Przerabiano nieskończoną ilość razy kompozycję obrazu tak, aby uzyskać zupełną prostotę, aby wszystko stało się jasne i niewątpliwe.

Wśród tej pracy wytężającej odpoczywano niekiedy. I wówczas mówiło się o literaturze, o wspólnych znajomych i o tem wszystkiem, co może interesować ludzi o wspólnych upodobaniach.

Nie ulega wątpliwości, że w tem towarzystwie dużo musiało być zagadnień socjalnych. Przecież i Chaplin jest również człowiekiem przekonań bardzo lewicowych — podobno sympatyzuje nawet z komunistami.

Pomimo to, jego ulubionymi pisarzami są Poe i Szekspir, a przytem obu uważa za zdecydowanych arystokratów, za pisarzy wolnych od wszelkiej tendencji społecznej, a jednak genjalnych.

I oto Chaplin porwany dyskusją zaczyna grać Hamleta, Hamleta z melonikiem na głowie, z bambusową laseczką, obwisłemi spodenkami i t. d.

Pomimo to jednak jest porywający. Szekspirowski biały wiersz świszcze w jego ustach, jak uderzenie bata.

Naturalnie rozmawiano o filmach. Chaplin opowiadał o rozmaitych swoich na tem tle przeżyciach. I tak np. małpy w „Cyrku" tak straszliwie go podrapały, że musiał leczyć się przez sześć tygodni. Jeszcze teraz zostały ślady po dwóch ranach.

Najulubieńszy jego film, to „Shoulder te arms", film wojenny. Charlie Chaplin występuje tutaj wśród wojny, na tle okopów. Jest żołnierzem, a jednocześnie tym samym pociesznym i samotnym włóczęgą. Niestety, nie wolno go teraz wyświetlać ani w Europie, ani w Ameryce.

Groteskowy atak Chaplina na psychozę wojenną okazał się zbyt śmiały zarówno w Starym jak i Nowym Świecie.

I tak mijają pracowite dnie, tygodnie, miesiące.

Czasami tylko wychyla się Chaplin z granic swojego państwa. Jest wówczas małym, nieznanym człowiekiem. Nikt nie zwraca na niego uwagi, wszyscy mijają go obojętnie.

DEES

KORA

Wyjątek z ostatniego zbioru poezyj Maryli Wolskiej p. t.: „Dzbanek malin"

W białej ruinie umarłego domu, —
Ugodzonego w serce domu, — siedzę
I zda się wnikam w nieznaną nikomu
W tę między śmiercią a żywotem miedzę.
Skrzypką świerszczową wczesny zmierzch dygoce —
Czy już mnie niema — czy wciąż jeszcze jestem?
W zamarłych ścianach tajne życia moce
Nasion mnie sypkim urzekły szelestem.

Skrzypką świerszczową mrok jesienny brząka,
Podzwania suche na przetaku ziarno;
Dokonań bliskość — witanie — rozłąka,
Wszystko pod skibą przytajone czarną,
Wszystko mi w zwarciu uwiędłego strąka,
Trumna dla kwiatu, dla ziarna kołyska,
Jawne — i oczom ukazane zbliska.

Trwam, czym już wnikła tam, skąd się nie wraca?!
Czym w sennej pustce długiego wieczora,
Jak do podziemi jeno zeszła Kora,
Dojrzałych nasion wywczasu strzegąca?

Byle wystrzelił znowu pęd do słońca!

I wszystko jedno — pszenicy, czy ostu,
Byle darzyła się odkwitu praca
I dziw cudowny pełnił się poprostu,
Jak kiedy ręka, wspak, powrotnym gestem,
Już przesypaną klepsydrę obraca...

Dlategom była — pocóż jeszcze jestem?!

Perepelniki 1919

„CZASEM — COŚ SIĘ TAK MOCNO SPAMIĘTA, CZASEM — COŚ SIĘ TAK SAMO OPOWIE"

NIE MYŚLĘ dobierać słów. Chcę opowiedzieć tak, jak spamiętałam mocno, sercem. I żalem moim głębokim, że „już niema tych rąk — co pić dawały duszom, kwiatom, ptakom".

Pewnego lata przytulił mnie w gościnę dwór perepelnicki. Najniespodzianiej. Lato było gorące, pachnące, dwór biały i wojną zniszczony. Prócz kwiatów kwitło tam wówczas także młode szczęście dwojga ludzi. Chodziłam z nimi prawie codzień patrzeć, jak rosną małe szczepki owocowe przy dróżce do kaplicy. Zaszczepili je sami i cieszyli się. Potem wracaliśmy przez gazon. Drzewa szumiały, jakaś szeroka a niska lipa brzęczała pszczołami jak plaster miodu, a biała brzoza zarzucała cienkie gałązki na ciemny świerk. Także młoda para.

Chłonęłam to lato wszystkiemi porami moich 20 lat i było mi bardzo dobrze.

Miała przyjechać Pani Wolska. Maryla Wolska. Dla nich — matka, a dla mnie przedewszystkiem poetka. Jeszcze nigdy nie mówiłam z poetką.

Porządkowałyśmy pokój na Jej przyjęcie. Zawiesiło się białe firanki i biurko przysunęło między dwa okna. Potem naniosłyśmy dużo, dużo nasturcyj. Aby nie było smutno w tym pokoju. Bo niedaleko i niedawno był nieszczęsny Złoczów, i niedawno przygasła na stokach zamku plama krwi najdroższej.



MARYLA WOLSKA

Nie wiedziałam jak się objawi Jej smutek. Czy wybuchnie potokiem rozżalonych słów przed najbliższymi. Albo rozśpiewa się cudnemi strofami. Przecież poetka! Tymczasem przyjechała i była taka spokojna. Patrzyła na wszystko wokoło zmienione, na salon odarty aż do posadzki, na ślady śmierci, która tędy przeszła — i milczała. Odjechała prędko.

Dziś wiem, że było tak przez wiele lat od owych żałobnych chwil „choć Jej się usta milczeniem znużyły". I że wyśpiewała wówczas najgłębszą pieśń żalu. A może pokorna wobec Wielkiej Sprawy mówiła już wtedy swemu biednemu sercu:

„Wara mi bluźnić...
O żywot mniejsza, gdy honor zostanie
Lecz jakże boli... W Imię Ojca, Syna,
Kto śmie, o próżnym gadać krwi expensie?"

Potem widziałam Ją na jedynem, urocznem tle dworu w Medyce. Na warsztacie literackim leżało tam wtedy dzieło o „Arthurze i Wandzie", tylko tam mogło być pomyślane i tylko Jej, o sobie milczące pióro mogło ożywić na nowo tamten cud miłości i cierpienia. Wszakże kołysały Ją ręce „te z Lituanji i Wojny".

A w własnym Jej domu, na Zaświeciu we Lwowie, było tak, jakgdyby codzienne życie zatrzymało się kiedyś dawno — na jakiejś szczególnie pięknej chwili. Tam najlepiej można było pojąć, dlaczego Maryla Wolska jest właśnie taka a nie inna i skąd zaczerpnęła owej głębokiej mądrości ducha, kultury słowa i gestu i wytworności swego przedziwnego dowcipu. Dom na Zaświeciu był jak wielka skrzynia pełna pamiątek. W każdym nieledwie kącie, można było palić małą lampkę czcigodnym wspomnieniom. Przetrwały tam szlachetne tradycje narodowe i wychowały patrycjuszkę.

Wiem, że to, co mi tu ze wspomnień o Niej pod pióro napłynęło — jest zbyt skromne. Napiszą więcej ci, co bliżej Niej stali. Napiszą godniej.

Ale ja, wdzięczna Jej jestem za każde dobre słowo, którem mnie darzyła, gdy życie mnie gnało, jak:

„... drobną tę przepiórkę rudą
Cieniem... wypłoszoną z miedzy."

I nie tylko za to. Ale przedewszystkiem za niewypowiedziany urok jej zbliżenia. Było jak powiew czystego powietrza wśród wielkiego znoju.

Czytam dziś „Dzbanek malin", ciężki dojrzałą mądrością, a smutny jak list pożegnalny, i dziękuję Jej — że była.

JANINA OSIŃSKA

NASZA WODA

Nie mąc wody córuleńko, koraleńko!
nie mąć wody lewą ręką!

W kwietniu bazie tu szuściły — wody naszej nie zmą-
[ciły,
w maju wiatr niósł puch tarniny — nie zasypał nam
[głębiny,
w czerwcu kwitły gorzkie głogi — nie splamiły naszej
[płynnej, naszej zwinnej, wodnej drogi,
a w jesieni liście biły — wody nam nie zakrwawiły,
w zimie śnieg się tutaj kłębił — nie zasypał nam prze-
[rębli —

Nasza woda zimna, zdrowa, nasza woda kryształowa,
tylko nie mąć lewą ręką, tylko czerp ją prawą ręką —
koraleńko! córuleńko!

Nasza woda, zwinna, młoda — ej! woda! wodziczka!
ma w południe szmaragdowe — czereśniowe o zachodzie
[liczka!

Tylko przejrzyj się w niej dłużej —
córuleńko, koraleńko —
a zobaczysz w jej roztoczy — swoje oczy
siwe, duże.

Tylko słuchaj jak w zwierciadle — coś tam dudli nieodgadle,
coś bełkoce, ćwierka, szumi — czy ty kiedy to zrozumiesz?

Tylko słuchaj jak w tem lustrze coś łopoce, świszcze, pluszcze
coś tak krzyczy w głębi, na dnie — czy ty kiedy to od-
[gadniesz?

Nasza woda rozźródlona, smagłą rzęsą otulona,
płynie w cieniu, po kamieniu,
w czarnej gęstowinie płynie
la-la-la! la-la-la! nasza woda skrzydła ma!

Nasza przetoczysta woda —
ej! wodziczka, niebieska kryniczka —
źródlista ochłoda!

Kto ma ręce krwią zwalane — niech umyje tu nad ranem,
niech uklęknie, niech zapłacze — nasza woda mu wybaczy,
spłócze błoto, jad i rany.

Płynie woda prościusieńko — nie mąć-że jej lewą ręką
córuleńko, koraleńko —
tylko przyjrzyj się jej ładnie — a zobaczysz może na dnie
swoje serce córuleńko,
co poniesie przecież ciebie i po ziemi i po niebie
jak to bezpieczne czółenko!

KAZIMIERA ALBERTI

PONAD GRANICĘ, PONAD CŁO...

GDY się zobaczy przed sobą dwóch panów w obcych uniformach, z których jeden prosi o otworzenie kufra, a drugi o paszport, — gdy się usłyszy nagle inny dźwięk mowy — zawsze się wydaje przez chwilę, że to co ludzi dzieli jest bardzo wielkie. Jest bardzo głębokie. I jeszcze: że tu się coś kończy i że coś nowego zaczyna. A tymczasem nie. Nic się nie kończy i nic się nie zaczyna innego. A raczej zaczyna się to samo. Ta sama praca ziemi, to samo niebo, ten sam wiatr. A nadewszystko z a c z y n a się ten sam człowiek. Jego praca. Jego myśli, jego duch. Jest to wszystko jakgdyby ponad granicą, ponad cłem. I już jedziemy dalej spokojni i ufni. Ufni, bo istnieje łańcuch ludzi, którzy podają sobie ręce ponad tem wszystkiem co ich rzekomo dzieli.

Do takich należy w Zagrzebiu Zdenka Markowicz. Gdy się ogląda jej szafę z książkami na cichej Jurjewskiej ulicy, ma się wrażenie, że jest to gdzieś co najwyżej w Poroninie lub Dunajcu. I oto tak b e z c ł a przywędrował tu cały Kasprowicz z dedykacjami i Wyspiański i Norwid i Mickiewicz i Słowacki i Krasiński i nawet Stanisław Brzozowski. Gdy słuchamy doskonałej polszczyzny Zdenki Markowicz, gdy czytamy polskie dedykacje na książkach — czyż mamy wrażenie, że przebyliśmy jakąkolwiek granicę?



Dr ZDENKA MARKOWICZ

Zdenka Markowicz już od siedemnastego roku życia zajmuje się literaturą polską. Słuchaczka prof. Dobrzyckiego we Fryburgu, otrzymała doktorat na podstawie pracy o Wyspiańskim: *„Der Begriff des Dramas bei Wyspiański"*. To głębokie i ciekawe studjum tłumaczył na język polski prof. Kolbuszewski.

Uczy się języka polskiego na wierszach Konopnickiej. Wydaje o niej studjum, tłumaczy nowele, *„Na normandzkim brzegu"*. Propaguje niestrudzenie polską twórczość poetycką. Pisze długie studjum o wszystkich dziełach Kasprowicza. Pracę *„O twórczości Słowackiego"*. Długie studjum: *„Na drogach duszy polskiej"* (rzecz o romantyzmie), *„O poezji Żuławskiego"*. Tłumaczy wiele dzieł polskich na język chorwacki. Jest autorką przepięknego *„Domu w śniegu"* i *„Lotu"*.

Znają Zdenkę Markowicz wszyscy Polacy przyjeżdżający do Zagrzebia. Z prof. Ilisiczem, również wielkim przyjacielem Polaków, oprowadza wycieczki, wyczekuje na dworcach, zamawia hotele, kolacje, radzi, pomaga, troszczy się, aby wszystko było dobrze. — A sama? Posłuchajcie tylko co mówi:

— Utarło się przekonanie, że pisarz jest człowiekiem najmniej realnym, błądzącym w chaosie swoich myśli, oderwanym od ziemi. Tymczasem — czyż istnieje człowiek bardziej rzeczywisty? Bardziej dla rzeczywistości pracujący? Pisarz był zawsze p r z e d politykiem, p r z e d żołnierzem, p r z e d rewolucjonistą. On to wszystko formował, on ich jakoby tworzył, jakoby lepił dopiero. A także był zawsze p o n a d g r a n i c ę. Czyż istnieje więc człowiek bardziej żywy aniżeli pisarz. Tak jak u Wyspiańskiego — niewiadomo już kto bardziej rzeczywistszy:

„czy ten, co leci wzwyż —
„czy ten, co trzyma krzyż".

Pisarz leci wzwyż. Ponad wszystkie granice. Czy tak, proszę pani — no czy tak?

— Ależ pewnie, pani Zdenko, pewnie...

KAZIMIERA ALBERTI

LIST Z RZYMU

W RZYMIE sezon już się skończył, ceny zniżono, więc mieszkam w eleganckim pensjonacie. W jadalni mówi się wszystkiemi językami europejskiemi,



Ryc. 1. — FORUM ROMANUM

prócz włoskiego, ale jest tu trochę i miejscowego towarzystwa: przeważnie młodzi panowie, polujący na dolarowe posagi, i kilka młodych panienek z mamusiami, wierzącemi, że włoskie wdzięki ich córeczek łatwiej się spodobają cudzoziemcom, niż rodakom.

Najwięcej jest Amerykanów. Łatwo ich poznać choćby po zastawie: gdzie stół jest obładowany butelkami, tam z pewnością siedzą Jankesi. Zresztą są sympatyczni, uprzejmi, bez niemiłej sztywności i zarozumiałości angielskiej.

Szkoda, że nie mam czasu na towarzyskie rozmówki poobiednie, bo mogę w Rzymie pozostać tylko 16 dni, więc jedynie w czasie posiłków rozmawiam z mymi sąsiadami, a całe dni spędzam w muzeach i kościołach.

Wczoraj po południu, w najgorszy skwar wybrałam się na Forum Romanum, jak wszyscy turyści z Bae-



Ryc. 2. — ŚWIĄTYNIA ESKULAPA W WILLI BORGHESE

dekerem w ręku. Tylko nieodzownego aparatu fotograficznego z sobą nie wzięłam, bo za ciężko dźwigać w taki upał. Usiadłam na złomie antycznego marmuru i próbowałam odszukać na planie otaczające mię ruiny kolumn i szczątki murów (ryc. 1).

Jakiś młody Włoch ze szkicownikiem obchodzi mię wkoło, uważnie się przygląda, siada na pobliskim, równie antycznym jak mój marmurze i zaczyna mię rysować. Udaję, że czytam, ale naprawdę już czekam na tradycyjne pytanie o godzinę lub narodowość. Zawiodłam się jednak: dopiero w trzeciem zdaniu Włoch spytał, skąd pochodzę, w pierwszych dwóch prosił o wyjaśnienie:

— Czy pani nie wie przypadkiem, co to jest? (Świątynia Romulusa.)

Ale taki Włoch, co przychodzi szkicować Forum, wie z pewnością lepiej ode mnie, co to jest, więc sobie postanawiam: już ja cię poinformuję!

Robię minę naiwną i skupioną:

— To, proszę pana? Tu była prywatna łazienka Juljusza Cezara.

— Ach tak, a tamto? (Łuk Septyma Severa.)

— To jest łuk, który Caracalla kazał zbudować dla swego syna, Nerona.

— Jak pani wszystko świetnie wie! Jak ja tego pani zazdroszczę!

— A tak, bo ja kocham sztukę i poezję. Ale pan, Rzymianin, a nie zna Forum, to wstyd!

— Cóż, ja jestem tylko skromnym inżynierem budowy maszyn, uczyłem się głównie matematyki.

— Aha, ja się też trochę znam na matematyce. O geometrji rzutowej i wykreślnej mam słabe pojęcie, interesowałam się raczej teorją liczb, teorją mnogości, geometrją analityczną i t. d.

— Gdzie się pani tem zajmowała?

— Gdzieżby, na uniwersytecie.

— A wie pani, że ja się odrazu domyśliłem, że pani tylko dla żartu opowiadała niestworzone rzeczy o tych ruinach, że zgadła pani, poco prosiłem o wyjaśnienie.

Zaczęła się zwykła, banalna rozmowa. Obeszliśmy Forum, już pod przewodnictwem nie mojem, ale inżyniera. Było bardzo gorąco, więc po spacerze, zmęczeni usiedliśmy w cieniu Anaglifów Trajana. Mówiliśmy oczywiście o polityce, bo jak w Polsce każdy musi się przedewszystkiem opowiedzieć za lub przeciw Piłsudskiemu, tak samo we Włoszech trzeba się zawsze spowiadać z sympatji lub antypatji dla Mussoliniego.

Ja się na faszyzmie zupełnie nie rozumiem, ale Mussoliniego lubię za to, że powsadzał dzieci do szkół i już w najniższych klasach kazał nauczać, że żebranina nie przystoi godności rzymskiej. Prócz tego ponaznaczał surowe kary na żebraków. Ludzie, znający Włochy z dawnych lat, pewnie nie uwierzą, że teraz można godzinami chodzić po ulicach i nie spotkać ani jednej wyciągniętej ręki, ani jednej rodziny, rozłożonej pod kościołem. Na dworcach tragarze nie rzucają się na podróżnych, ale czekają aż ich się zawoła, a w odpowiedzi na pytanie, ile im się należy, wyciągają z kieszeni taksę. I kradzież stała się rzadkością. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że czarnym koszulom można zupełnie bezpiecznie powierzyć największą sumę.

Kiedy tak poważnie o tem wszystkiem rozmawia-

liśmy z inżynierem, zauważyłam, że jeden strażnik oczu z nas nie spuszcza.

— Czy wie Pani, dlaczego ten człowiek tak nas pilnuje? Poprostu chce zarobić trochę pieniędzy. Liczy na to, że my się pocałujemy, a wtedy wlepiłby nam 22 liry kary, z czego on oczywiście ma spory procent.

— Co też Pan mówi? Naprawdę tu się płaci karę za pocałunek? Dobrze, że mię Pan uprzedził, bo będąc stale w podróży mam zawsze za mało pieniędzy i nie mogę ich wydawać w podobnie głupi sposób!

— No nie, to jużbym ja zapłacił karę.

— Boże, jakiż pan hojny!

— Pani tak serjo mówi, czy kpi?

— Naturalnie, że kpię. Zdaje mi się, że obowiązkiem mężczyzny w takim wypadku jest ponieść konsekwencję własnej winy. Prawdopodobnie policjant odrazu zwraca się do „niego",

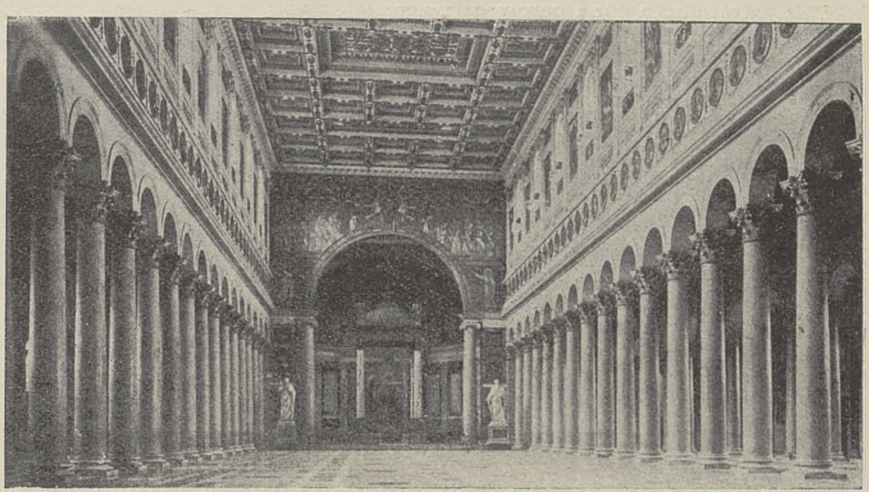
— Grubo się Pani myli! Faszyści są zdania, że wina jest obustronna i karę dzielą sprawiedliwie na połowę. 11 lirów płaci „on", 11 — „ona".

Dla mnie jednak i 11 lirów było za drogo, a że nie lubię, żeby mi „fundowano", więc wolałam pożegnać Włocha. Myślałam coprawda, że to wszystko żarty, okazało się jednak tegoż samego wieczoru, że informacje te były bardzo ścisłe. Było to tak: Po kolacji siedziałam w salonie z grupą innych jeszcze gości pensjonatowych. Pewna panienka, Angielka, sięgnęła do swej torebki po chusteczkę, przyczem wypadły jej dwie karteczki, któremi zaczęła się bawić. Ktoś, znający się widocznie na rzeczy, spytał skąd ma te karteczki. Angielka się zarumieniła. Była któregoś wieczoru w Willi Borghese (ryc. 2) z Włochem, który nie umiał słowa po angielsku, ona zkolei nie zna włoskiego, więc się porozumiewali na migi. Nie wie dobrze, dlaczego w pewnej chwili zbliżył się policjant, dał im dwie karteczki i kazał płacić. Jej towarzysz coś jej długo i wymownie tłumaczył, ona jednak nic z tego nie rozumiała, wie tylko, że ją to kosztowało 22 liry. Wszyscy w śmiech, a panienka jest skompromitowana.

Zaraz potem jeden konsul bałkański opowiedział z brawurą, jak to i jemu raz naznaczono karę w ogrodzie i jak policjant, któremu jedną ręką podał swą legitymację, a drugą 10 lirów na piwo, życzył mu i nadal wesołej zabawy. Jasne, że konsul nie jest skompromitowany; co za niesprawiedliwość!

Ten wieczór był dość zabawny, przeważnie jednak już o 9-ej jestem w swoim pokoju, zmęczona całodziennem chodzeniem po mieście. A w Rzymie jest tak dużo do widzenia! Zazwyczaj turyści zwiedzają rano muzea, a po południu kościoły, bo to mniej męczy. Ale w barokowych rzymskich kościołach nie można odpocząć. Na ścianach, sufitach, nawet na podłodze niema ani kawałka gładkiej powierzchni, wszędzie jakieś ornamenty, stiuki, rzeźby, anioły, figury. Wszystko to się kręci, pochyla, przegina.

Chwilami chciałabym tupnąć nogą i krzyknąć: uspokójcież się choć na chwilę!, ale wiem, że



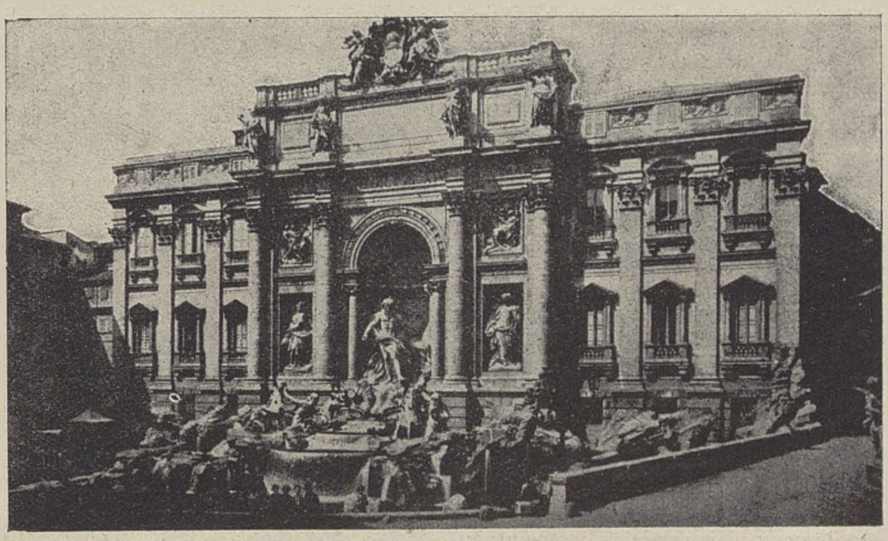
Ryc. 3. — KOŚCIÓŁ ŚW. PAWŁA ZA MURAMI

one tak muszą, bo są przecież barokiem. Dlatego ze wszystkich tutejszych kościołów najbardziej mi się podoba św. Paweł za Murami. Jest olbrzymi i prawie pusty (ryc. 3). Czterema rzędami stoją piękne, granitowe kolumny, o korynckich kapitelach, nad niemi ciąg medaljonów z mozaikowemi portretami papieży, w niszach bocznych naw posągi. Jest w tem surowa symetrja, powaga, cisza i spokój. To lubię! I także piękne jest wejście do kościoła, ów kwadratowy portyk, otoczony kolumnami, cały z białego marmuru.

Jaka szkoda, że nie będę mogła poznać dokładniej Rzymu! Ale to nic, mam nadzieję, że tu jeszcze wrócę. A nawet na pewno wrócę, bo wrzuciłam monetę w fontannę Trevi (ryc. 4). Jest to podobno środek niezawodny.

FR. OLESIŃSKA

Rzym, w czerwcu.



Ryc. 4. — FONTANNA TREVI

HORACY

DO DIANY

Strażniczko gór i borów dziewico,
Która wyrywasz śmierci matki młode,
Trzykroć wołana w srogich bolów dobie —
O trójbożyco!

Tę oto limbę strzelistą ci święcę
Przy mem domostwie — i ku twojej chwale
W radosnej, żywej i kornej podzięce
Krew dzika spalę.

DO LEUKONOI

O Leukonoe, nie pytaj (nie godzi się), jaki pisany
Mnie los, a jaki tobie — chaldejskich nie badaj znaków!
Nie radź się gwiazd, ni patrz w niebo na ciągi ptaków —
Znoś, co Bóg da: czy zim wiele, czy ta, co piany
Fal na morzu Tyrrheńskiem na skały gna — już ostatnią,
Nie zważaj — wino sącz w puhar, niech krótka chwila
Tnie długą nadziei nić. Bez tchu zawistny czas mija.
Chwyć go! Przytrzymaj dziś — jutru nie ufaj nadto!

DO WENERY

Wenero — Knidos i Pafos królowo!
Znijdź z Cypru, pani, skoro cię wymową
Kadzideł piękna Glykera przyzywa —
Chce być szczęśliwa!

I przywiedź z sobą twe ogniste chłopię,
I Gracje wdzięczne i twe nimfy płoche
I Młodość — jakże bez miłości ona
Jest opuszczona!

DO NEOBULI

O niedola, ni miłości nie dać pola, ani słodkiem spłukać winem
Trosk — albo ci przyjdzie skonać od ojcowskich gróźb i klątw!
Afrodyty syn skrzydlaty koszyk tobie z rąk wytrąca, Neobulo,
Chęć do krosien ci zabiera urodziwy przybysz z Liparyjskich wysp —
Czy gdy lśniące swe ramiona nurza w Tybrze, jeździec niczem
[Bellerofon,
Niezwyciężon nigdy w biegu, pyszny siłacz w boju wręcz —
Czy gdy celną miota strzałę na jelenie, co spłoszonem pędzą stadem,
Albo dzika z gęstych chaszczy sam wytropić umie wlot.

Spolszczyła IDA WIENIEWSKA

JANUSZ STRACHOCKI

INTERVIEW

NA MORZU Melpomeny powstaje w lecie wielki przypływ i odpływ. Smutno patrzeć, jak jedne fale odbiegają od naszego brzegu; nie wiemy, co przyniosą nowe.

Do Lwowa przybywa Janusz Strachocki. Cieszy ten powrót każdego, kto oglądał rzetelne wysiłki reżysera i aktora, kto uczestniczył w tylu poczynaniach i imprezach kulturalnych Lwowa, którym Strachocki nigdy nie żałował współpracy swej gorącej. Ale powołanie Strachockiego na scenę lwowską jest czemś więcej, niż radością lwowiaków, wierzymy bowiem, że w całej Polsce publiczność, która jeszcze nie odwróciła się od teatru, uraduje się, że tak utalentowany i pracowity artysta znowu odnalazł po niepotrzebnej tułaczce punkt oparcia dla nowych poczynań.



JANUSZ STRACHOCKI — Fot. A. Lenkiewicz

Interview zwykle przeradza się w plotkę lub w blankiet paszportowy, wybaczcie więc, że nie ściągnąłem z Strachockiego generaljów. Warszawiak, aktor nowej daty, tedy nie niedouk, nie kuglarz, który z łaski Bożej w powietrzu łapał iskry natchnienia, można więc wyszczególnić szkoły, lata praktyki i próby — lecz pocóż to wszystko? Ploteczka też nie pożywi się na p. Januszu: tęgi sportsmen (bywał mistrzem okręgowym w sztucznej jeździe na łyżwach, wygrywał w turniejach tennisowych, a hippikę uprawiał nawet w konkurencji międzynarodowej: jako szwoleżer z bolszewikami!), rozmiłowany ojciec rodziny, słowem nic z wymoczka-storczyka, piękno- i lekkoducha, wypielęgnowanego przez legendę o aktorze.

Jedno w nim jest z starej baśni o aktorze: wędrówki. Gdzie Janusz Strachocki nie bywał! Warszawa na kilka nawrotów — Letni, Praski, Bogusławskiego, Ateneum. Moskwa i Kijów. Poznań, dwa razy, Łódź, Lwów, objazdy. Pielgrzymka taka ma duży urok osobisty i może naprawdę prowadzi człowieka, jak wędrownego czeladnika średniowiecznego, poprzez stolice i stoliczki do majsterstwa. Zresztą dośpiewacie sobie więcej rysów charakterystyki z fotografji, którą p. Strachocki ofiarował Czytelniczkom „Świata Kobiecego".

Trzeba zapytać coś o reżyserję. Wiemy, że w nielada szkole zdobywał ostrogi. Z L. Schillerem reżyserował „Pudełko zabawek" Debussy'ego, pierwszą w Polsce pantomimę. Realizował chiński „Złoty płaszcz", potem długi szereg dzieł aż po ostatnie kreacje reżyserskie, które widzieliśmy swego czasu we Lwowie — „Cyrana", „Różę", „Hamleta".

W myśl zasady, że każdy wysłannik jakiejkolwiek redakcji stawia zawsze kłopotliwe pytania, zainterpelowałem swą ofiarę, jakie zadanie reżysera uważa za najważniejsze.

„Pytanie za ogólne — stwierdził Janusz Strachocki. — Gdyby można było tę kwestję tak szeroko rozważać, za najdonioślejsze zadanie uważałbym, dla polskiego reżysera, dążenie do stworzenia polskiego stylu w teatrze. Takiego stylu w obecnej dobie kompletnie niema. Lecz dla walki o ten postulat musiałby reżyser wychowywać aktora, a przecież praca wychowawcza nie leży w ramach zadań reżyserskich.

Aktor musi przemawiać po polsku — nietylko używać polskich wyrazów w polskiej dykcji, ale musi interpretować sztukę swoiście, po polsku."

Pamiętam, wysunął kiedyś ktoś (obojętne, kto) zarzut, że Strachocki (zdaje się) Szekspira „robi zbyt po słowiańsku". Zaatakowany zapisał sobie ten zarzut do księgi największych pochwał.

„Kto ma interpretować sztukę swoiście? Czy wyręczy nas obcy teatr, np. paryski lub berliński, i będzie sztukę odczuwał i podawał po naszemu?"

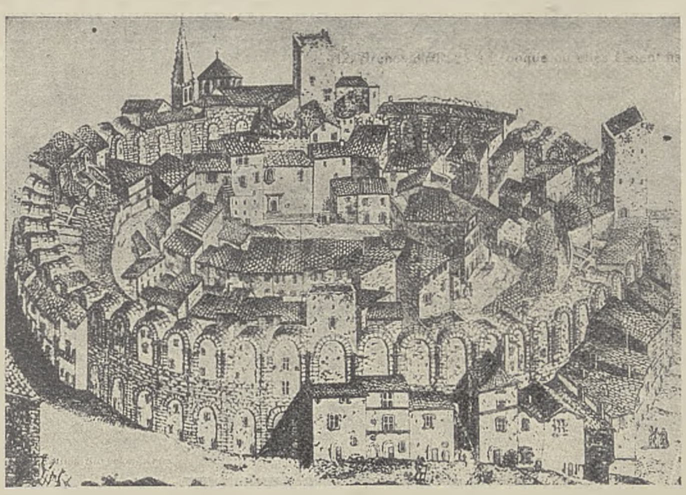
Dosyć pytań. Wnet ujrzymy Janusza Strachockiego przy pracy i zobaczymy, czy pamięta, że twórczość zbiorowa, że sztuka każda powinna mieć swą twarz indywidualną.

S. PRZ.

III.

HRABINA CZERWONEJ TULUZY

CAŁY ŚWIAT Południa ściąga na zjazd do Belkairu (Beaucaire). Ściągają książęta i poeci, ściągają kupcy na targi, które właśnie słynąć zaczynają. Przybył przedewszystkiem Bernard de Ventadour. Obecność księcia poetów dla Rajmunda Tuluskiego, który w poezji trubadurów występuje jako hr. Belkairu, jest nieoceniona w tej właśnie chwili i niezawodnie obdarzył poetę sowicie za usługę jaką mu ten oddał wobec Riki. Bernard bowiem opiewa jako wyraz doskonałości, jako ideał rycerskiej pani, Rikę, pod kryptonimem *Bel Vezer* (Piękne Wejrzenie), który wyraża zarówno piękność jej, jak i radość jakiej patrzący doznają. A czyni to z najgłębszą czcią należną jej dostojeństwu. Opuszczając kraj nie zapomni przesłać jej w balladzie pożegnania:



ARENY W ARLES, ZABUDOWANE W WIEKACH ŚREDNICH

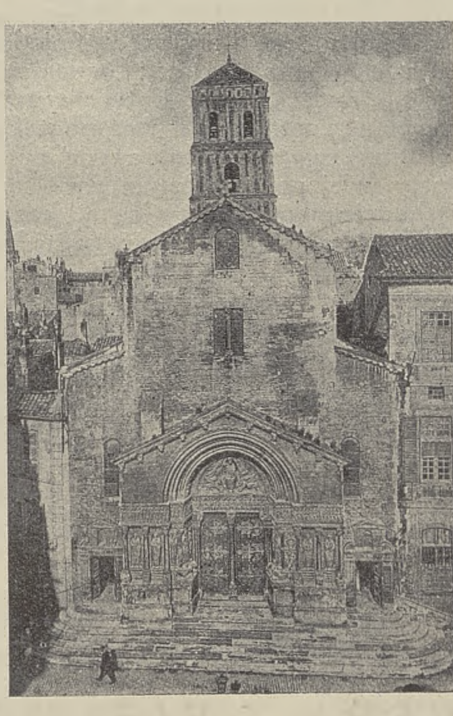
Prowancji radość mą szlę, pozdrowienie
I więcej dobra niż słowem wyrażę,
Przez co wysiłek czynię, cud, marzenie,
Gdyż czego nie mam sam, posyłam w darze,
Bo mnie jedynej radości promienie
Daje Czar-urok i *Piękne Wejrzenie*
I druh Owerniat, mój pan na Belkairze.
Piękne Wejrzenie! przez cię Bóg cud [czyni,
Kto ciebie ujrzy traci rozumienie,
Nie wie co działać i rzec rozkosz każe.

Rika jest rzeczywiście idealnym przedmiotem dla poezji rycerskiej. Piękna, jasnowłosa, wiecznie młoda wobec starzejących się rychło pań Południa, wysoko urodzona i postawiona, ma Rika czar niemal egzotyczny, jest również „księżniczką z oddali": ta Polska taka daleka, taka nierealna, gdzieś wśród „Saracenów", gdzieś na skraju świata. Nosi też Rika tytuł cesarzowej, i urok dwudziestoletniego cesarstwa Hiszpanji, które już do przeszłości należy, dodaje jej aureolę nierealności. Jest ona naprawdę cesarzową świata poezji, otoczoną wiecznie przez trubadurów. Pomoc Bernarda de Ventadour jest w tej chwili dla Rajmunda nieoceniona. On jeden opiewając w pieśni stałą miłość hrabiego, który zostaje pod czarem swej pani, może wmówić w Rikę, po wszystkich brzydkich intrygach Rajmunda w Melgueil i w St. Gilles, że hr. Tuluzy bynajmniej o niej nie zapomniał, ani się jej nie sprzeniewierzył. Właśnie dlatego, że Rika była jego rycerską, dworną miłością, powinna zachować pewną nierealność, pozostać w sferze idealnego oddalenia, nie może zejść do roli zwykłej żony i księżnej. Ona ma zostać w sferze gdzie względy polityczne i pieniężne dostępu nie mają. A jeśli Rajmund i o tamtych myślał, to jej, Rice, pani dwornej miłości, zawsze tę lepszą cząstkę zostawiał, gdyż więcej sobie niewiasta, najwyżej postawiona ceni miłość rycerską i woli być jej przedmiotem, niż żoną najpotężniejszego władcy.

Dość, że tu w Belkairze, Rika jest cesarzową mirażu prowansalskiego.

Obok Bernarda de Ventadour są inni trubadurowie. Pietrek Roger piewca Hermengardy z Narbony, Piotr Rajmon z Tuluzy, jest Piotr Gwilem, elegant w zielonym berecie, w czerwonej szacie i białym płaszczu, i Rymbałd Orański, który dziedzicem słynnej Oranji uczynił Bertranda z Baux, jest i umiłowana jego, legendarna poetka, hrabina z Die. Jest ponoś i młody Cabestang z nad alpejskiej Beczwy, kochanek Tryklinji, pani bliskiego Rusylonu w Luberonie, który w niej, właśnie w czasie tych godów, zazdrość budzi, symulując miłość do siostry jej Agnieszki z Taraskonu; zazdrość ta każe Tryklinji zdradzić tajemnicę serca, za co niebawem mąż jej serce trubadura-kochanka na półmisku poda.

Gromadą przybyły z hołdem statki genueńskie, jest i saraceńskie poselstwo od sułtana Nuredyna wdowy, romantycznej bratanicy Rajmunda V, która poganom w Palestynie panuje. Opowieść sprowadza i Żofra, „rycerza z lwem", który właśnie z Ziemi świętej wrócił i żałobę po przyjacielu lwie nosi, gdy ten chcąc za nim do Europy płynąć, w morzu utonął.



DAWNA KATEDRA ŚW. TROFIMA W ARLES

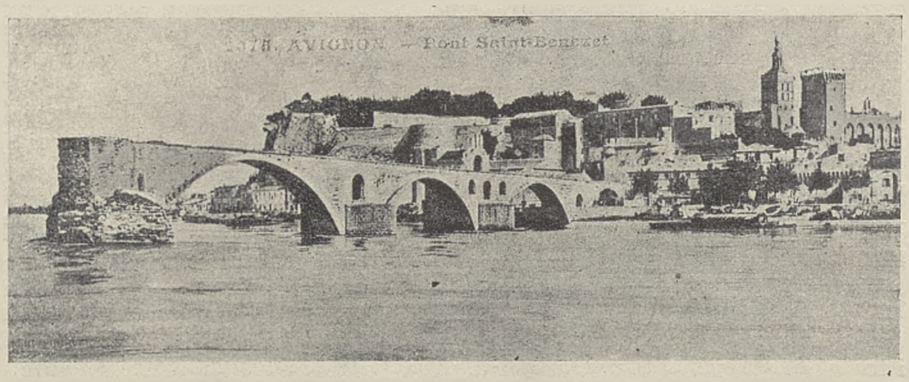
W przepychu i żądzy olśnienia prześcigają się wszyscy. Rajmund z Agoult otrzymane od hr. Tuluzy 100.000 soldów w tłum rzuca; Rajmund z Venoux 30 koni na stosie pali; Bertrand z Simiany pole 12 parami wołów zaorywa i 30.000 soldów zasiewa; Gwilem Gros de Martel pola oświeca woskowemi drzewami gromnic, zastawę złotą gawiedzi rozdaje. Świat feudalny szaleje. Rycerze współzawodniczą w strojach, wprowadzając nowe, najdziwaczniejsze pomysły dyktatora mody, Ryszarda Lwie Serce: pierwsze, bardzo nieliczne pióropusze falują, tu i ówdzie pierwsze herbowe znaki mienią się barwami, czapraki klejnotami. Już eleganci zaczynają porzucać ów długi nasuwień pod siatką noszony, który jak szaty niewieście do stóp opadał fałdami, i owe rękawy wiotkie, co od łokci zwisając, z koni wiały jak skrzydła.

Alfons się tylko spóźnił. Zjedzie się po cichu z hr. Tuluzy pod Ventoux koło Malauceny, w zamku Meuillon, pokój zawrze; potem walka rozgorzeje znów, póki ubogi cieśla, wizjoner Piotr, nie położy jej kresu doprowadzając do układu na wyspie Gernica w 1185 r.

Lecz przedtem jeszcze, rok 1177 ujrzy najświetniejsze, jedne z pierwszych turnieje w Malaucenie, o któ-

rych śpiewać będą i Gwilem Ramnols z Apt i Rambaud z sąsiedniego Malaucenie Vaqueirasu. Znowu festyny i gody bez końca. Stoły na placach i ulicach Malauceny nie mogą pomieścić biesiadników. Sam hr. Tuluzy pod imieniem hr. Belkairu, zjedzie w szranki z mniejszem jednak szczęściem. Bohaterem jest Bertrand z Baux, zwycięzca Rajmunda z Agoult i dwudziestu innych zapaśników. „Rozbił on w proch trzech rycerzy obcych, razem walczących, lecz nie słyszałem aby ich ktoś żałował, bowiem przyszli oni z ziemi obcej i odległej" (R. de Vaqueiras). Mój Boże ci trzej rycerze z ziemi obcej i odległej, których nikt nie żałuje, czy nie mogli to być dalecy rodacy Riki?

Ostatni raz spotykamy Rikę na koronacji cesarza Fryderyka (czy też syna jego Filipa, jak chcą inni) w Arlu w r. 1178. W apoteozie pod dostojnemi łukami świątyni św. Trof ima wśród rycerstwa całej Europy, widzimy ją obok Fryderyka cesarza, obok Ryszarda Lwie Serce, obok Bertranda z Baux.



MOST ŚW. BENEZETA W AWENJONIE

To ostatni ślad po niej. Ludzie średniowiecza wcześnie żyć zaczynają, wcześnie się kończą, Rika w Arlu nie ma jeszcze 45 lat.

Jeszcze raz rozpali się walka, jeszcze raz splami się Rajmund, zbrodnią dokonaną na Bertrandzie z Baux, o którego sławę zazdrosny; tego już Rika nie doczeka pewnie, ale oczy jej olśni może mistycyzmu zorza, która bliskiego Gwilema z Baux do pustelni zawiedzie. Idą nowe czasy. Piotr, cieśla prosty, wizjoner, Rajmunda z Alfonsem godzi; gromady rękodzielników ubogich w *bractwo pokoju* związane po drogach Prowancji i Owernji przebiegają, do zgody wzywając; już wystarcza jedno słowo św. Piotra z Tarentezy, góralabiskupa, by dwie armje, sabaudzką i delfinacką rozdzielić; już pasterz, zapadłej w czarny jar Arku, wioski Pontamafrey, Benezet, za głosem cudownym idąc, most rękoma własnemi, mocą bożą w Awenjonie 11 lat buduje i zakon budowniczych zakłada, *Braci Mostowych*. Już sam Rajmund zrywa się do walki z wypieszczoną herezją: dość mszy czarnych kacerza Maurana w Tuluzie, dość synodów manichejskich Ninquity biskupa. Cystersi apostolstwo podejmą. Sam Rudobrody w Wenecji stopy papieskie całuje, nim w Azji zginie dla krzyża. Już rycerz, zbrodniarz-pokutnik Bernard z Beziers cuda wielkie czyni; Bernard z Montpellier, syn niemal świętego Gwilema VI, przeor Aniany, kult św. patrona ojcowskiego w Gelonie wskrzesza; przy końcu wieku Jan z Mathy zakon „*Wolności św. Trójcy*" założy, aby z niewoli pohańskiej lud ratować. Chrześcijaństwo całe korzy się przed świętym proletarjatu Tomaszem Becketem. To zmierzch moralny przegniłego rycerstwa i feudalizmu, — których przedstawicielami typowymi są degeneraci, we wszystkie zbrodnie, zboczenia i wyrafinowania wzbogaceni — Plantageneci; — zmierzch, wobec dochodzącego do głosu ludu, za którym stoi kościół, a który na wyprawach krzyżowych najwięcej wycierpiawszy, z cierpienia swego nowy świat tworzy. Ruch ludowy w jednej gałęzi wydaje wrzenie Waldensów alpejskich i niemal „bolszewicki" ruch w Tuluzie, w drugiej miłośników pani Biedy z prowansalskiego ducha swego twórcy wyrosłych, i masowych budowniczych katedr, bo oto już w Chartres i w Paryżu wznosi się świątynia Nôtre-Dame a za niemi wykwitają inne.

Aż wreszcie na progu kościoła św. Idziego, spotykamy raz jeszcze samego Rajmunda z Tuluzy, który przyszedł pojednać się z Bogiem. Posłuchajmy kronikarza, Gwilema de Podio Laurentio, jak nam owo zdjęcie klątwy opowiada:

„Hugo, opat Cystersów święty, mszę odprawił i wyszedł aż do progu. Tam u stóp jego usiadł Rajmund z całym dworem i tłum ludzi. Hugo uczyniwszy znak ciszy ręką, kazał długo o obcowaniu świętych, aby dowieść prawdy słów owych o ważności obcowania w kościele i nieszczęściu klątwy, polecił przynieść chleb biały gorący i ludowi podziwiać dawał białość jego. Potem wypowiedział głosem wielkim słowa klątwy kościelnej, a towarzyszyło im dzwonów bicie i świec łamanie i deptanie. I natychmiast z chleba woń wyszła nieznośna i rozpadł się w próchno. Wziął potem opat próchno to i rozgrzeszył je i klątwę zeń zdjął, a chleb stał się biały i smaczny jako był przódzi, Hrabia Rajmund na ten widok do stóp opata padł, we łzach tonąc, wyznawał grzechy swoje, zrabowane oddał, skrzywdzone pocieszył, kościołowi się ukorzył w łaskę przywrócony."

ANNA LUDWIKA CZERNY

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść, 25 —

— No, biedak Colin ma porządnego stracha. Dlatego to muszę być blisko.

— Rozumiem.

— Nic ci to nie szkodzi, że będzie mieszkał u nas?

— Ależ jestem uszczęśliwiona. Bylem ja mu nie szkodziła.

— Będzie cię uwielbiał, na pewno.

— A teraz pokaż mi ogród.

Udali się na zielone tarasy, gdzie pawie roztaczały swe wielkie ogony ze strzyżonych cisów. Madzi bardzo się podobały pawie i cisowy żywopłot i sadzawka ze złotemi rybkami i ogród kwiatowy.

Szedł prędko, bojąc się przystanąć, bojąc się, że będzie musiał z nią rozmawiać. Przeczuwał, że pierwsze lepsze jej słówko naładowane będzie jakiemś rozdzierającem wzruszeniem i że lada chwila wypadnie odpowiedzieć na nie. Coprawda, nie było to w stylu Madzi; ale że dla niego wszystko się odmieniło, lękał się, że którejś chwili Madzia również pocznie się zachowywać jak nie ona.

Z trudem chwytała oddech. Położyła mu dłoń na ramieniu: — Nie śpiesz tak, Jerry. Pragnę patrzeć i patrzeć.

Przeszli na taras zachodni i stali sobie, patrząc. Brunatno-purpurowe, aksamitne kwiaty pomurne rosły gęsto u stóp parkanu; ich gorący, słodki zapach dolatywał aż na taras.

— Tak tu cudnie, że słów brak poprostu, — powiedziała.

— Miło mi bardzo, że ci się podoba tutaj. Tak, to ładny zakątek.

— Najśliczniejszy, jaki widziałam kiedykolwiek. Tak tu jakoś zacnie i szczęśliwie. Jakby każdy, kto tu mieszkał czy mieszka, był szczęśliwy i zacny.

— Nie wiadomo. Przez szereg lat był tu szpital. I trochę znać to jeszcze. Dwór jest, zdaje mi się, nieco odrapany...

— Mniejsza o to. Miły jest z tem odrapaniem. Nie chcę zapomnieć, że tu był szpital... I pomyśleć, że straciłam siedem tygodni tego!

— Niewieleś straciła. W marcu mieliśmy psią pogodę.

— Ale straciłam siedem tygodni c i e b i e.

— Ba, przeżyjesz to, — rzekł niepoczciwie.

— Nie mów tak. Pozostawiło to bolesną próżnię. Ale nie mogłam na to poradzić. Doprawdy nie mogłam, Jerry.

— Dobrze, dobrze, Madziu. Wiem, że nie mogłaś.

— W Torquay było okropnie. A tu jest raj. Och Jerry, mój złoty, jakaż tu będę szczęśliwa.

Spojrzał na nią z nagłą tkliwością współczucia. Była widomie szczęśliwa. Pamiętał, że go w niej przedewszystkiem oczarowała jej skłonność do cieszenia się wszystkiem. A patrząc na nią teraz, czuł w jej szczęściu i słodyczy i urodzie li tylko smutek. Lecz smutek nie tkwił w niej, tkwił we własnej jego duszy. Takie jak Madzia kobiety są stworzone, aby mężczyźni byli im wierni. A on nie był wierny żonie. Jest stworzona do kochania, on zaś jej nie kocha. Niczem mu ona. Napełniła go żałość nad tą urodą i słodyczą, które były mu niczem. I w tej litości, w tym smutku, po raz pierwszy uczuł jakąś w duszy niedogodę.

Gdybyż tylko mógł przerwać cielesny związek, który do tej pory łączył go z nią; gdybyż tylko mogli zaniechać tego wszystkiego i utrwalić między sobą jakiś niewinny, niematerjalny stosunek, któryby nie był wiarołomstwem względem Anny...

Gdy pomyślał o Annie, nie mógł sobie w żaden żywy sposób wyobrazić, jak on to pogodzi.

2.

Madzia mówiła do niego już od kilku chwil, zanim zdołał ją zrozumieć. Nareszcie pojął, że dla jakichś przyczyn, których nie umiała mu wyjaśnić, żona go odsuwa. Jerrold nie będzie zmuszony przejść przez to.

Ponieważ Jerrold nigdy nie przewidywał rzeczy, których widzieć nie chciał, więc i w tej sprawie z Madzią nie powziął żadnego planu. Nie, żeby liczył na natchnienie chwili; już z samej swej natury chwila ta nie mogła przynieść natchnienia. Poprostu nie myślał o tem; rzecz była nazbyt niemiła. Aliści obecność Madzi z niejaką przemocą przynaglała go do rozstrzygnięcia. Annie oddał się bez skrupułów, gdy jednak miał się oddać Madzi, doznał w sumieniu jakiegoś poczucia winy. Gdyż zasadniczo Jerrold był wierny; tylko ta wierność całkowicie przypadła Annie. Jego ożenek z Madzią był grzechem przeciw Annie, ale grzeszność uszczuplała się przez to, że nie ciągnął stąd żadnej rozkoszy. Oburzała go perspektywa pójścia do Madzi po Annie; oburzała go myśl, że Anna ma się nim dzielić z Madzią. Nikt — mówił sobie — nie jest mniej od niego wielożeńcą.

Jednocześnie przykro mu było za Madzią. Nie chciał, żeby cierpiała; na to zaś, by nie cierpiała, nie powinna wiedzieć; na to, by nie wiedziała, obecny stan rzeczy ma zostać niezmienny. Nawiedzał go strach, że Madzia się dowie i będzie cierpieć. Litość, jaką czuł dla niej, była dojmująca i oskarżycielska, jakby Madzia już w jakiś sposób wiedziała i męczyła się. W każdym razie odczuwa zapewne, iż czegoś brak. Będzie jej musiał jakoś wynagrodzić, będzie musiał jej dać wszystko inne za tę jedną rzecz braknącą. Chłód Madzi ułatwiłby mu wszystko. Nic nie mogło zachwiać Jerrolda w przekonaniu, że Madzia jest oziębła, że nie potrafi tak go pragnąć jak Anna. Spokój jego duszy i sumienia opierał się na tem przekonaniu. Lecz mimo swego chłodu, Madzia chciała mieć dzieci. Wiedział o tem.

W mniemaniu Jerrolda Madzine dzieci byłyby zniewagą dla Anny, ustawiczną obelgą. Anna jednak przebaczy mu; zrozumie; nie będzie chciała zranić Madzi.

Więc się zdecydował.

A teraz oto wyrozumiał, że dla jakiejś niewiarogodnie łaskawej przyczyny, ona go odsuwa. Nie będzie zmuszony przechodzić przez to.

Stał przy łóżku Madzi, patrząc na leżącą młodą kobietę. Uchwyciła go za ręce, jakby dla przeszkodzenia możliwym pieszczotom. A jej zdyszany głosik rozlegał się urywanie:

— Nie będziesz się gniewał, że ci nie pozwalam...?

— Przepraszam cię, Madziu. Nie wiedziałem, że w ten sposób to weźmiesz.

— Nie, nie. To nie dlatego, żebym cię nie kochała. To tylko moje głupie nerwy. Straszę się.

— Tak, wiem. Wszystko będzie dobrze. Nie będę ci się narzucał.

— Mama mówiła, żebym tego nie żądała od ciebie. Że ty nie zrozumiesz i że to będzie zbyt wielka krzywda dla ciebie. Czy tak?

— Nie; oczywiście, że nie. Rozumiem doskonale.

Starał się nadać głosowi brzmienie serdecznej rezygnacji, poczciwej ofiary, choć czuł to jako błogosławieństwo ulgi, ratunek ze zgrozy — nieprawdopodobne, pełne łaski zbawienie.

Ale Madzi, w jej słodyczy, nad wyraz ciężko było odmawiać; nie chciała go za nic urazić.

Przyciągnęła go bliżej. — Jerroldzie... jeżeli to dla ciebie za trudne, nie zwracaj na mnie uwagi. Zapomnij moją gadaninę. To tylko nerwy.

— Ależ nie trap się, wszystko będzie jak najlepiej.

— Straszneś dobry.

Jej uścisk zwolniał. — Proszę, proszę, idź sobie. Natychmiast, prędko!

Gdy wyszedł, przyłożyła rękę do serca. Czuła zbliżający się ból. Napełniało ją to niewypowiedzianem przerażeniem. Ilekroć doświadczała tego, miała wrażenie, iż umrze. Gdybyż tylko mogła tak się nie podniecać; podniecenie zawsze to sprowadza. Wstrzymała oddech, by opóźnić katuszę.

Już, już nadeszła. Odpryski szkła, ostre odpryski szkła, zrazu dotykające, potem przeszywające, wreszcie rwące serce na sztuki. Serce zwarło się nad temi odpryskami, raniąc się za każdem uderzeniem.

Pomacała ręką pod poduszką, szukając pudełeczka z pigułkami amyl-nitrat'u. Zawsze miała to na podorędziu. Skruszyła jedną pigułkę w chusteczce i podniosła do nosa. Ból ją opuścił. Leżała nieruchomo.

3.

A co niedziela o szóstej lub dziewiątej wieczór (zmieniał porę, by zmylić podejrzenia), Jerrold szedł do Anny.

W tygodniach poprzedzających przyjazd Madzi i następnych, szczęście Ani było zupełne, natężone i tajne, nito błogość świętego w ekstazie lub genjusza oglądającego ukończone swe dzieło. W tem oddaniu się Jerroldowi, odnalazła swą rzeczywistość. Oddała się

bez wstydu, ani wyrzutu, ani lęku przed niebezpieczeństwem. Ich namiętność była zbyt czysta, by wywoływać wstyd, czy strach, czy wyrzut. Uważała, iż miłość jest tem piękniejsza, gdy żyje wolno i w niebezpieczeństwie, nie zaś w ochronnych więzach. Grę miłości trzeba prowadzić z zuchwałą, wyzywającą odwagą; jeśli tchórzysz i chowasz się, nie jesteś do niej zdolny. Oboje z Jerroldem brali to wszystko ze skrajną prostotą, jako rzecz zgóry zdecydowaną. Nigdy nie ślubowali ani przysięgali sobie, że będą się kochać wiecznie. Jakżesz mogliby przestać się kochać? Anna, jak nie widziała początku, tak też nie potrafiła przewidzieć końca tego. Całą jej przeszłość stanowiła miłość do Jerrolda; nie było w jej życiu takiej chwili, kiedyby go nie kochała. Dzień, w którym się uściskali, był jedynie punktem stycznym pomiędzy tem co było a tem co będzie. Nicby nie zdołało zaniepokoić Aninego sumienia, oprócz świadomości, iż Jerrold do niej nie należy, że mu nie wolno jej kochać; a tej świadomości nigdy nie miała. Należeli do siebie zawsze, od czasu, gdy dziećmi bawili się razem. To Madzia jest intruzką, to ona nie ma praw, to ona wzięła co do niej nie należy. Ania umiałaby przebaczyć i to nawet, gdyby Madzia mogła się usprawiedliwiać potężną namiętnością. Ale przecież tak nie było.

To też Anna, w przeciwieństwie do Jerrolda, nie turbowała się o Madzię. Nigdy nie widziała Jerroldowej żony, ani jej widzieć pragnęła. Dopóki jej nie widzi, jest tak, jakby Madzi wcale tu nie było.

A jednak Madzia była tu. I Anna czuła jej obecność bardziej niż ludzi widywanych codziennie. Obecność Madzi dawała się odczuć w niebezpieczeństwie, na jakie się narażali. Stanowiła przeszkodę — nie do szczęścia doskonałego, lecz do ustawicznego szczęścia. Madzia jest powodem, że mogą się widywać tylko zrzadka, tylko przez jedną trudną i ryzykowną godzinę. Za sprawą Madzi Jerrold, miast postępować w swój zwykły nieoględny, gardzący następstwami sposób, zniewolony był obmyślać możliwie najmniej upokarzające wybiegi. Musiał czemś upozorować te niedzielne wycieczki na fermę. Tak naprzykład ustalił zwyczaj długich przechadzek o zmierzchu w dnie powszednie, oraz niepunktualności przy posiłkach. By go nie widzieli fornale, wracał do domu od tyłu, mostem przy młynie, przez ogród owocowy i drzwi kuchenne. Na szczęście, gospodarstwo nastręczało mu stałego i nienagannego pretekstu do widywania się z Anną.

Albowiem Jerrold, chodząc tak z Anną po folwarkach, powziął głęboką miłość do swych siedmiuset akrów. Nareszcie wstąpił w istotne władanie swą schedą; a jeśli to Anna Severn nauczyła go korzystać z tego dziedzictwa, tym trybem kojarząc na zawsze jego miłość do niej z jego miłością do roli, to przecież ziemia posiadała i swój własny odrębny urok, który go coraz bardziej pochłaniał. Postanowił zabrać się do gospodarki poważnie i samemu zarządzać majątkiem, kiedy Anna obejmie fermę Suttona. Anna nauczy go wszystkiego co sama umie, poczem będzie mógł uzupełnić edukację rokiem lub dwoma na wydziale agronomicznym w Cirencester. Znalazł pracę, która najbardziej mu odpowiadała, którą, jak sądził, najlepiej wykona. Tem lepiej, że umożliwi mu ona codzienną, nie budzącą podejrzeń bliskość z Anną. Sumienie uspokoił mu chłód Madzi i Jerrold wmawiał sobie, iż życie, jakie obecnie pędził, jest życiem możliwie najlepszem dla zdrowego człowieka. Umysł miał jasny i bystry, ciało przedziwnie sprawne; miłość jego do Anny była doskonała, doskonała jego z nią przyjaźń, doskonałe wzajemne porozumienie. Nigdy się sobą nie znudzą ani znużą. Jeździł z nią konno po wzgórzach, w słońce i słoty brodził z nią przez jary.

Niekiedy zbliżał się do niej zapomocą jakiegoś zmysłu, ostrzejszego niż wzrok czy dotyk, a który mu objawiał jej najrdzenniejszą, niematerjalną iściznę. Siedziała spokojnie w saloniku lub nieruchomo stała w polu, kiedy tak nagle spływało nań to jasnowidzenie. Chwile takie odznaczały się realnością i pewnością bardziej rażącą niż nawet chwile namiętnych uniesień.

Wkońcu przestali myśleć o niebezpieczeństwie. Z ironją czuli, że broni ich legenda, co z Anny i Colina uczyniła kochanków. W oczach Kimberów i niani Suttonowej i żony pastora i Corbettów i Hawtreyów i Markhamów, Jerrold był surowym stróżem braterskiej moralności. Twierdzili oni teraz, że kapitan Fielding położył tamę tej całej wstrętnej sprawie, kazał Colinowi zamieszkać we dworze i sam zajął się majątkiem w tym celu, aby mieć baczenie na brata i Annę Severn.

Anny te plotki nie obchodziły. Czuła, że są bezpieczni, jak długo ona nie zna Madzi. Nigdy jej na myśl nie wpadło, że może Madzia zechce poznać ją, kiedy wszyscy inni się odstrychnęli.

4.

Ale Madzia zapragnęła poznać Annę, i to właśnie z powyższego względu. Któregoś dnia przyszła do Jerrolda, trzymając w ręku wizytówki.

— Byli tu Corbettowie i Hawtreyowie. Czy to mili ludzie?

— Nie wiem. Ja nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

— Czemu?

— Z powodu ohydnego sposobu, w jaki potraktowali Annę Severn.

— Cóż jej zrobili?

— Zrobili? Postąpili jak zupełne świnie. Zerwali z nią stosunki od pięciu lat zato, że się opiekowała Colinem. Gadali o niej najbrudniejsze rzeczy.

— Jakiego rodzaju?

— Ano, że Colin jest jej kochankiem.

— Och, Jerroldzie, co za obrzydlistwo. I to tylko zato, że była prawdziwą świętą.

— Anna nie dba, co się o niej plecie. Moja matka zostawiła ją samą jedną do pielęgnowania Colina, i Anna nie zechciała go opuścić. Nie myślała o niczem, tylko o nim.

— To chyba anioł.

— Tak.

— Ale co do tych obmierzłych ludzi... jak chcesz, żebym postąpiła?

— Jak ci się podoba.

— Ja ich nie potrzebuję. Zastanawiam się tylko, co byłoby najlepsze dla Anny.

— Anną się nie krępuj. Przecież nie jest twoją przyjaciółką.

— Owszem, skoro jest twoją i Colinową. To znaczy, chciałabym, żeby została moją przyjaciółką... Może najlepiej zrobię, składając wizytę tym Corbettom i Hawtreyom i pokazując im wyraźnie, jak wysoko cenimy Annę. A później zerwijmy z nimi stosunki, jeśli dalej będą ją szykanowali. Będzie to daleko dobitniejsze, niż gdybym z miejsca okazała im nieuprzejmość... Ale, Jerroldzie, jakie to dziwaczne: wszak ja dotąd nie znam jej. Nie była jeszcze u nas.

— Prawdopodobnie sądzi, że nie chciałabyś jej znać.

— Dla owych plotek? Właśnie przeciwnie. Ba, ona jest jedyną tutaj osobą, którą pragnę poznać... Widocznie zakochałam się w niej już od pierwszego razu, gdyś mi opowiedział o niej i o jej opiece nad Colinem. Musimy uczynić wszystko, co tylko jest w naszej możności, by się odwzajemnić. Powinniśmy ją często zapraszać i uprzyjemniać jej pobyt. (C. d. n.)

KARJERA MANIUSI DUPONT

— Kochasz się w Polce, co? Tak, to epidemiczne w naszej misji. Wszyscy wpadamy pokolei... Bo też cóż to za dziwne kobiety, te Polki! Piękne i takie mądre! Co druga to doktór filozofji, co trzecia to architekt, czy inżynier, a przytem takie niesłychanie kobiece... I jaka duma, co za godność... Początkowo wydaje się to śmieszne, a nawet niewygodne, a potem przywyka się i do tego. Rozumiem teraz dlaczego Polacy tak nisko pochylają głowy, całując ręce dam. Jest w tem coś średniowiecznego, coś rycerskiego, czego my we Francji zupełnie nie znamy. Pewien dowcipny feljetonista i powieściopisarz [1] nazwał polską kobietę — skarbem narodowym i zupełnie nie przesadził. No cóż, poruczniku? Wpadłeś, to się żeń i basta. Ja też wpadłem, ożeniłem się i na złość całej masie ludzi jestem bardzo szczęśliwy. Mam już nawet małą, dwumiesięczną córeczkę — pochwalił się radośnie, pokazując porucznikowi fotografję malutkiej, cudownej grubaski, o ogromnych, niemądrze, ale ślicznie wytrzeszczonych oczach.

Jakto? Ożenić się? Ożenić się z tą bidusią w zelowanych pantofelkach i w kapeluszu przerobionym ze starej bluzki? Ożenić się *z miłości* i *bez posagu?*

Porucznik Dupont zadrżał i uczuł, jak stanęły w nim dęba wszystkie niezłomne, odwieczne tradycje niezliczonych pokoleń trzeźwych, oszczędnych, zapobiegliwie kalkulujących Dupontów.

Małżeństwo z miłości? Ależ w ojczyźnie jego takie szaleństwo jest zgoła nieznane... *Mariage de raison* — zimny, wyrachowany aljans dwóch rodzin, dwóch płci, posag zastrzeżony w kontrakcie ślubnym, którym żonie nie wolno nawet rozporządzać. Przyszłość?

Jakiś spokojny garnizon, mały domek, ale własny, mały samochodzik, Peugeot naprzykład, albo Citroen, poważne konto w banku, reprezentujące posag żony, doskonały stół, jakaś pani Dupont, drepcząca niezmordowanie w filcowych pantoflach po piętach ordynansowi, pytająca z troską co wieczór w olbrzymiem, małżeńskiem łożu, co ma być jutro na obiad i jakiś mały, jeden — oczywiście — Dupont, aby było komu zostawić domek, samochodzik i franki, miłośnie składane w banku...

Oto przyszłość godna Duponta. Prosta, jasna, pogodna... Bez wstrząśnień, komplikacyj i głupich, sercowych powikłań.

— No cóż, wahasz się poruczniku? — zaśmiał się wesoło promieniejący kapitan. — Sądzę, że istota, dla której zżółkłeś, jak cytryna, nie jest żadną *petite femme* z rodzaju naszych francuskich przyjaciółek, które od nas wymagają wszystkiego, prócz uczucia? Bo nie licz tu na żadne romanse z przyzwoitą i uczciwą dziewczyną. Panują tu jeszcze zgoła średniowieczne obyczaje i nasza wolna miłość nie cieszy się w Polsce żadną popularnością.

— Więc sądzisz pan, kapitanie, że gdybym tej młodej pannie zaproponował *collage*, wspólne pożycie bez małżeństwa, oddawna tak rozpowszechnione we Francji, że stało się poprostu usankcjonowaną instytucją — —

— To owa młoda panna wyrzuciłaby napewno pana za drzwi — roześmiał się kapitan i poklepał po ramieniu głęboko zmartwionego porucznika.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Cóż to za dziwny kraj... Co za nieprawdopodobne obyczaje — rozmyślał boleśnie porucznik Dupont, błądząc niespokojnie, jak duch potępieńca po czarodziejskich w swym rozkwicie alejach Łazienkowskiego parku.

— Muszę uciekać. Uciekać do Francji. Niech mnie przeniosą do byle jakiej dziury, to ocaleję.

Nagle z za ociężałych od różowych kwiatów krzewów wyłoniła się znajoma sylwetka w popielatym kostjumie, znajomy biedny kapelusik i pukiel złocistych włosów na dziewczęcym policzku, którego nie tknął róż *mandarine*, czy *capucine*.

Praktyczny, trzeźwy Dupont krzyknął:

— S. O. S.! Uciekaj! S. O. S.!

Ale Greta Zimmerle szepnęła mocno bijącemu sercu:

— Głupcze, patrz, oto miłość. Biegnij za nią. Schwyć mocno, a delikatnie za tęczowe skrzydła i przytrzymaj obiema drżącemi ze szczęścia i trwogi rękami, by nie uciekła... Bo jeżeli ucieknie, nie spotkasz jej już nigdy... nigdy...

I gdy zdyszany porucznik Dupont stanął przed panną Maniusią, jej śliczne, cienkie, choć nie wyskubane brwi zbiegły się gniewnie nad oczami. A fiołkowe oczy były zimne i miażdżące królewską dumą.

— Chciałbym panią przeprosić za tamtą naprawdę skandaliczną scenę, *Mademoiselle* — powiedział nieśmiało zdławionym głosem, trzymając w ręce kepi. — Ale pani napewno domyśla się, dlaczego byłem aż tak zuchwały — dodał niemal błagalnie.

Panna Maniusia wzruszyła lekceważąco ramionami i jej wbite gdzieś w przestrzeń, nieobecne oczy mówiły wyraźnie:

— Cóż mnie to obchodzi, panie... jakże tam? Ach, tak, panie — Du-pont?

— To zazdrość — posępnie skonstatował porucznik, idąc wciąż ze spuszczoną i obnażoną głową obok milczącej panny. — To napewno zazdrość...

W kącikach ust panny Maniusi pojawił się leciutki, ledwie dostrzegalny uśmieszek. A przygnębiony porucznik Dupont mówił z jakiemś nieco zabawnem zdziwieniem, zmieszanem z głęboką, serdeczną skruchą:

— Pierwszy raz w życiu odczułem zazdrość, *Mademoiselle*... I nie miałem pojęcia, że to tak boli...

W szybko zapadającym zmierzchu głos jego brzmiał miękko i pokornie. Było coś wzruszająco dziecinnego w tej cichej, naiwnej skardze, że „nie wiedział, że to tak boli". I choć naprawdę nie wiedział, jak się przemawia do młodej panny urodzonej w tak dziwnym kraju, gdzie kobieta jest uważana za „skarb narodowy", — pozwolił mówić swemu udręczonemu sercu.

I oto powoli surowa linja brwi panny Maniusi złagodniała..

I kiedy w szafirowym mroku przysiedli na jakiejś ławeczce, fiołkowe oczy spojrzały uważnie na zmienioną twarz młodego oficera i cofnęły w zdumieniu w cień długich, wstydliwych rzęs...

Bo oto porucznik Dupont stał się nagle — ładny. Jego nieco ciężkie rysy prześwietlił tajemniczy blask, niewidzialna, czarodziejska dłoń wyrzeźbiła je w maskę bladą, natchnioną i niemal porywającą. I gdy w dodatku zdrajca-księżyc opłynął tę męską, energiczną twarz swem płynnem, magicznem srebrem, serce panny Maniusi przeszyło nagle coś słodkiego i bolesnego, niby trwożne przeczucie miłości z jej wszystkiemi upojeniami i goryczami.

I w tej właśnie chwili porucznik Dupont omal że nie popełnił czegoś okropnego.

Wiedział, że wybranej istocie mówi się po polsku „kocham cię". Ale nie wiedział za to; że *ch* nie wymawia się jak *sz* i omal że nie szepnął w ekstazie miłosnego zachwytu: *Koszam cię.* W porę jednak ostrzegł go jakiś dobry duch, czuwający nad zakochanymi w Polkach cudzoziemcami.

I oto pod polskiem niebem i polskiemi stuletniemi kasztanami wsączyło się w polskie, dziewczęce serduszko, niby cicha pieszczota, — miękkie, melodyjne, francuskie wyznanie:

— *Je vous aime tant, Mademoiselle* — — —

Było to naprawdę pierwsze miłosne wyznanie, które mężczyzna uczynił osiemnastoletniej pannie Maniusi, zwanej zresztą w biurze dla jej rezerwy i wstydliwości „małą gęsią z Pułtuska".

Pobladła lekko i z drżeniem zapytała niemądrze;

— Naprawdę?

Porucznik Dupont wiedział, że może pocałować „skarb narodowy" w małą, obnażoną ze zniszczonej rękawiczki rączynę i uczynił to z temperamentem, którego mógł mu pozazdrościć niejeden rasowy Sarmata. I mimo to, że trzeźwy, zimny, kalkulujący i uznający tylko małżeństwo z rozsądku Dupont krzyczał w nim wniebogłosy: Szaleńcze! S. O. S.! S. O. S.! — młody oficer zapytał cicho, patrząc w prześliczne, fiołkowe, trochę przestraszone oczy:

— *Mademoiselle* Manusza, czy pani zechce zostać moją żoną?

— A ponieważ — — —

Ponieważ wieczór był srebrnie księżycowy, odurzająco pachnący orgją wiosennego rozkwitu —

ponieważ gdzieś blisko dzwoniły namiętnem upojeniem rozśpiewane na całe gardło słowiki — —

ponieważ panna Maniusia była na świecie sama, samiutka, jak palec i zapłakiwała się na amerykańskich filmach, widząc, jak Kopciuszki wychodzą zamąż za stuprocentowo męskich książąt z bajki, pięknych jak Ramon Novarro i wspaniałomyślnych jak Harun-al-Raszyd — —

ponieważ w jej młodziutkiem, naiwnem sercu drżało coś cudownego, rozkwitało coś niewiadomego, budziło się trwożnie coś, co było podobne do modlitwy i do piosenki — — —

wreszcie ponieważ porucznik Dupont stał się taki inny, taki nowy, niemal piękny w miesięcznym blasku tego czarodziejskiego wieczoru —

panna Maniusia rozpłakała się, jak prawdziwa „mała gęś z Pułtuska" i w milczeniu oparła swą złocistą, sierocą główinę o muskularne ramię w mundurze *khaki.* I aż westchnęła z zamkniętemi powiekami ze szczęścia, że jej już teraz nikt nie będzie w biurze dokuczał, przezywał „głupią gęsią z Pułtuska", „niewiniątkiem" i „hrabianką w podartych bucikach". (Bo czyż było jej winą, że nie urodziła się w suterenach, jako córka woźnego, że miała stare szlacheckie nazwisko po rodzicach, którzy podczas wojny stracili majątek ziemski i umarli, zostawiając ją, malutką, na łasce dalekiego kuzyna — skąpca, egoisty i dziwaka?)

I oto nagle stało się coś jak cud... To silne męskie ramię do śmierci będzie ją broniło przed ludzką złością i przed wszystkiem, co w życiu jest groźne i przerażające — —

I gdy porucznik Dupont poczuł tak blisko tę małą, ufną główkę, gdy policzek mu musnął pukiel słonecznych włosów, pociemniało mu nagle w oczach.

Zapomniał, że „skarb narodowy" można całować tylko w rękę, objął ramieniem dziewczęcą, gibką talję i z zamkniętemi ze strachu i szczęścia oczami pocałował pannę Maniusię w same usta — śliczne, dziecinne i bezbronne..

Pocałował te usta mocno, szczerze i prosto, jakgdyby zapomniał nagle w olśnieniu tej naprawdę pierwszej w jego życiu miłości o wszystkich brzydkich sztuczkach i wyrafinowaniach, których wyuczyły go rozmaite *petites femmes* w jego ojczyźnie.

(C. d. n.) HELENA FILOCHOWSKA

[1] St. Kiedrzyński.

NAJPIĘKNIEJSZA REDAKCJA W PARYŻU



Fragment poczekalni dziennika „La Semaine à Paris"

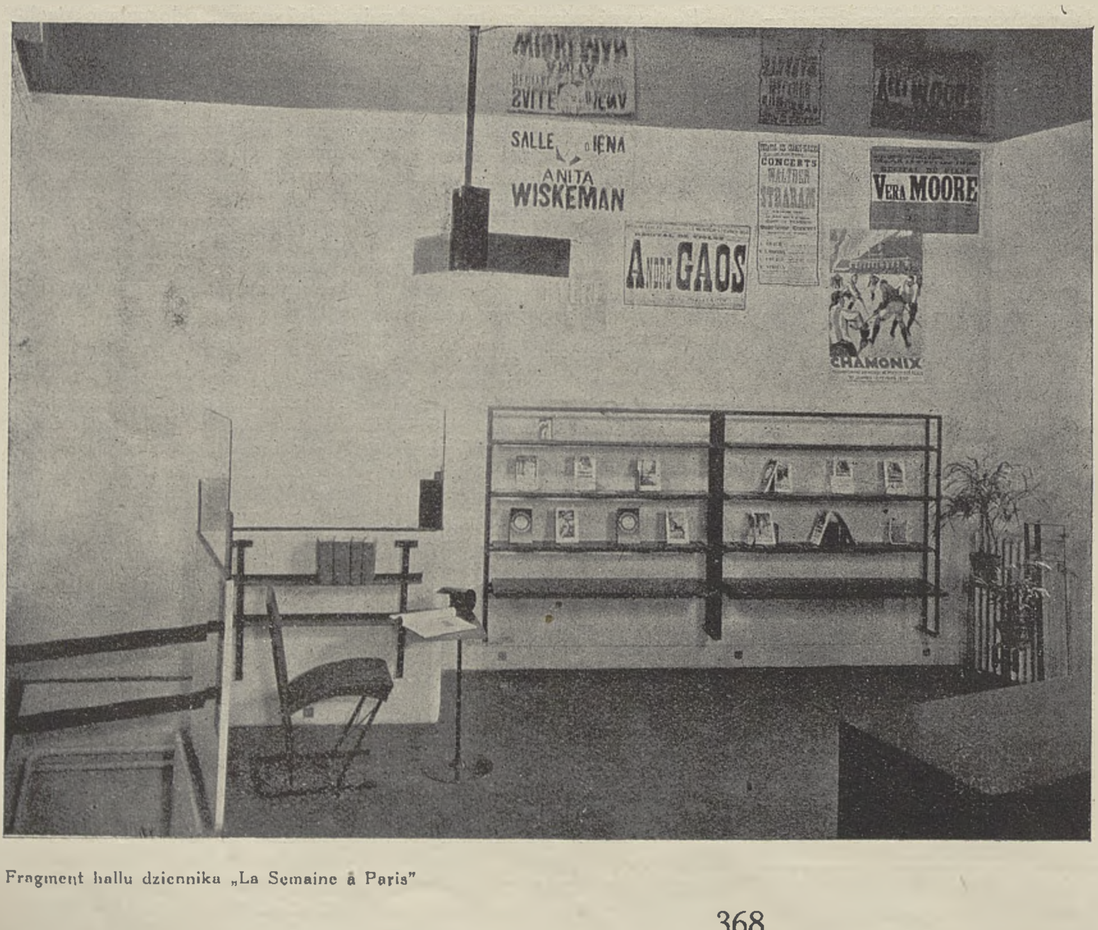
I ja tam też byłem,
Szampan i kocktajl piłem...

OCZYWISTA na inauguracji nowego lokalu pisma „La Semaine à Paris", nie zaś na inauguracji nowego mieszkania Cécile Sorel. Dwa te bowiem w ostatnich czasach w Paryżu wielkie stały się wydarzenia, prócz pewnej, dość znacznej liczby drobnych. — Dziennikarzowi dotąd jeszcze łatwiej jest znaleźć się wśród współbraci aniżeli u tej pani, która wprawdzie zawsze była aktorką, ale stała się też wielką damą, od chwili, gdy wbrew woli jego rodziny poślubiła hrabiego Ségur. Dziwne rzeczy dzieją się na świecie i rozumem ludzkim nieprzewidziane. Komedjantka z Comédie Française, która w rolach tylko nosiła tytuły, kochała się w przeszłości kraju, na quai Voltaire zamieszkiwała pałac ks. Mazarin i godnie w życiu domowem sprawowała tradycje XVII. i XVIII. wieku. Poza temi wyjątkowemi momentami, gdy ulegając duchowi czasu, przyjmowała u siebie demokratycznych ministrów. Kiedy zaś, nietylko w teatrze ale i na salonach przypadła jej rola arystokratki francuskiej, nagle odwróciła się od historji, za 4 miljony sprzedała łoże Pani Dubarry i przeniosła się z pyłem wieków osypanej dzielnicy, do dzielnicy gdzie sypie się pył nowo zbudowanych, ale zbudowanych, często przedwcześnie w gruzy padających kamienic. Na Champs Elysées hrabina de Ségur urządziła swój pałacyk w sposób modern całkiem. W amfiladę pokoi puściła światło dnia, odbijające się w złotem wybitych ścianach. Złota tego Europa w dostatecznej nie mogła dostarczyć ilości, sprowadzono je więc z Chin.

Życie wzniosłe i szlachetne zamieniła na życie szybkie i nerwowe.

Czy ma nadzieję, że to ją odmłodzi?

Ale niepotrzebnie troszczę się o Cécile Sorel, skoro nie była nawet łaskawą zaprosić mnie do siebie. Dałaby może jeszcze lepsze szampany i kocktajle aniżeli pan de Saint Cyr, redaktor „La Semaine à Paris", pisma bardzo rozpowszechnionego, niezbędnego dla tych, którzy mając pieniądze i czas, nie wiedzą jak jedno i drugie w Paryżu zużytkować. W „La Semaine à Paris" znajdzie się



Fragment hallu dziennika „La Semaine à Paris"

wszystko co w ciągu jednego zrobić tu można tygodnia, — dla duszy, dla umysłu i dla ciała. Serce... Serce wogóle należy do przeżytków, a jeśli jeszcze istnieje, to niech samo sobie karm jakiś szuka. Trudno, żeby się tem dziennikarze zajmowali.

Przyjęcie na rue d'Assas w nowym lokalu tego niezwykłego pisma świetne było; podnieść należy niezwykłą, jak na Francuzów, hojność gospodarzy i zwykłą moich kolegów po piórze — niewstrzemięźliwość...

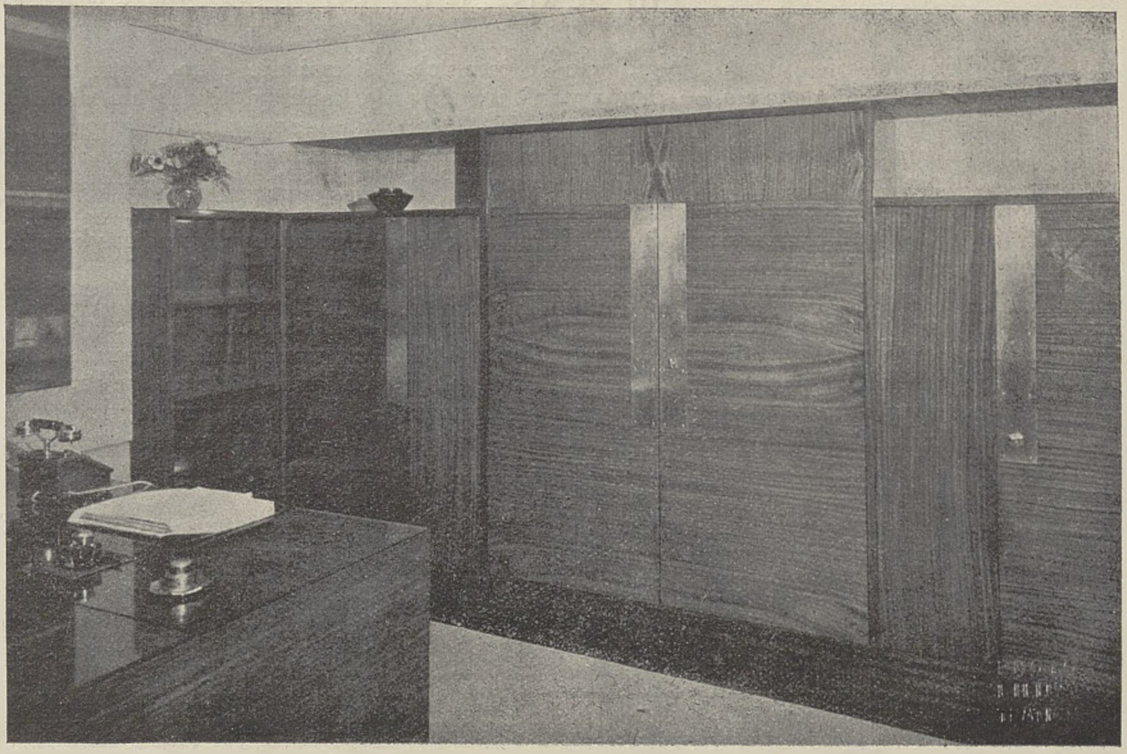
Coprawda było co oblewać. Redakcja „Semaine à Paris" jest pierwszorzędnie urządzona. Życzę pismom w Polsce, którym jestem życzliwy, — a jestem życzliwy nawet tym nielicznym, które pomimo mojego przypomnienia, zapominają mi wypłacić honorarjum, — życzę więc im bez żadnego wyjątku wszystkim, aby mogły wzorować się na podobnej organizacji, aby w podobnych pokojach mieściły się biura i aby redaktorzy podobnie wygodne posiadali biurka. — Nietylko biurka, nawet otomanki. Otomany redakcyjne w Polsce są ceratowe i zimne, — w czasie kryzysu hotelowego nieraz znajdowali na nich przytułek z sąsiednich miast przybyli koledzy, — otomanki tu są ciepłe i miękką jak aksamit skórą pokryte. Nasze fotele są niegościnne a kwiaty bezbarwne, poczekalnie takie, że uciekać z nich się chce bez załatwienia interesu, tu zaś — ten nawet kto pisać nie umie, doznać może natchnienia, gdy usiądzie przy osobnym stoliku, z lampką do medytacji jedyną.

W lustrach redakcji „La Semaine" à Paris" każdy snadnie przejrzeć się może. Nietylko zresztą w lustrach... Błyszczy lakal sufitów, błyszczą metale mebli i odbijają mnie, ciebie, zda się świat cały.

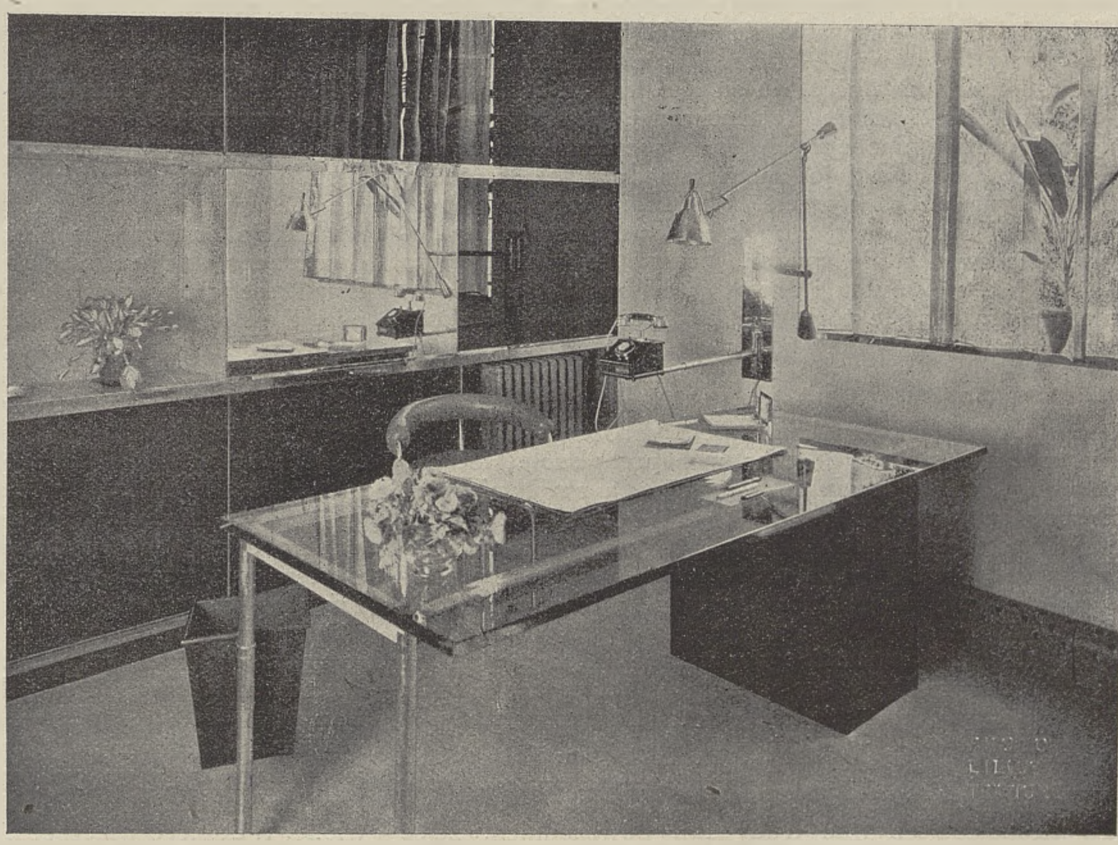
Tak jest naprawdę, nie przekupiony szampanem i kocktajlem piszę tę dytyrambę na cześć najpiękniejszej redakcji w Paryżu.

Kto nie wierzy, jeśli łaska
Niechaj zajrzy do obrazka.

ZYGMUNT PRZERĘBSKI



Fragment biura dyrektorów dziennika „La Semaine à Paris"



Fragment biura administratora dziennika „La Semaine à Paris"

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

ZUPEŁNIE niesłusznie utarło się pojęcie u jednych, że kosmetyka jest luksusem — drudzy zaś uważają ją za dowód wygórowanej próżności.

Tymczasem ani jedni ani drudzy nie mają słuszności. Nieporozumienie polega na tem, że nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, co właściwie oznacza słowo kosmetyka i podporządkowują pod nie cały arsenał chemicznych środków kosmetycznych i kosztownych zabiegów w instytutach piękności. Wyjaśnić więc trzeba, że kremy, emulsje, wody i t. p. są zaledwie znikomym drobiazgiem pomocniczym w przypadkach zmian w skórze, natomiast wpływy higjeniczne i psychiczne mają najdonioślejsze znaczenie. One to zmieniają na korzyść lub niekorzyść cerę, nadają koloryt młodości albo go jej odbierają, żłobią fałdy na obliczu lub je rozgładzają, rozświetlają blask oczu lub matują.

Znaczenie wpływów psychicznych podnosiliśmy wielokrotnie i wiemy już, że pogoda umysłu, dobroć, życzliwość i wyrozumiałość należą do dodatnich, odmładzających; irytacja, złośliwość, troski, pobudliwość nerwowa — do ujemnych, postarzających.

Z dodatnich wpływów higjenicznych: świeże powietrze, odpowiedni ruch, a nadewszystko czystość i oddychanie skóry. Zaniedbanie tych czynników wywiera ujemne skutki. Cóż pomoże zasmarowywanie skóry twarzy najdroższemi kosmetykami, o ile nie jest przedtem dokładnie umyta i oczyszczona z brudu, o ile skóra całego ciała pozbawiona jest codziennej kąpieli i dopływu powietrza, t. zn. ma utrudnione oddychanie.

Wszystko to są najcenniejsze środki kosmetyczne, a chyba łatwo dostępne i nie zrujnują nikogo. Gdy się do tego doda naturalne środki pomocne w pielęgnowaniu ciała i urody — wyliczamy je przy każdej sposobności — to przekonamy przeciwników kosmetyki, że nie jest ona ani luksusem, ani próżnością, a jedynie potrzebą i obowiązkiem każdej kulturalnej jednostki.

Zapewne, że niekażda zwykła śmiertelniczka może sobie pozwolić na codzienne wizyty w instytutach piękności i zaopatrywanie się tamże w „niezbędne" — i z reguły kosztowne — środki upiększające, których jest nieprzebrana ilość. Nie są one jednak koniecznym warunkiem w kulturze kosmetycznej. Prócz wyliczonych i istotnie niezbędnych, pozostaje neutralne mydło, czasem otrąbki lub jajo, shampoon do mycia włosów, boraks, rumianek, wreszcie, gdy skóra tego wymaga, jakiś obojętny tłuszcz, albo krem tłusty czy suchy dobrany indywidualnie, puder. Środki te mogą, rzecz jasna, jak np. mydła i kremy być bardzo drogie — ale nie muszą. Niektóre wyroby krajowe są bezkonkurencyjnie doskonałe i niedrogie. Można też sporządzić w domu krem lub emulsję do mycia twarzy w poszczególnych przypadkach. Od kilku lat podajemy recepty i przepisy na klinicznie wypróbowane środki; nie zapominamy też o domowych przepisach. Recepty te uwzględniają każdy rodzaj skóry, a nawet niektóre drobniejsze usterki.

W ten sposób pojęta kosmetyka nie narazi nikogo na wydatki nad stan, a uchroni urodę od szybkiej ruiny. Ciało wypielęgnowane, czyste, o członkach giętkich, wygimnastykowanych jest nietylko milsze dla oka, ale przedewszystkiem znacznie odporniejsze na choroby. Regularna pielęgnacja zapobiega starzeniu się; doraźna, kapryśnie raz wczas uprawiana jest tylko nieproduktywną stratą czasu.

Tylko systematycznie uprawiana kultura kosmetyczna obdarza nasze ciało młodością i zdrowiem, pozwala zwycięsko pokonywać trudy dni powszednich, zajęć zawodowych i rozmaite przeciwności losu.

Istnieje jeszcze jeden kosmetyk, z którym nikt się liczyć nie chce, jakkolwiek nie jest ani kosztowny, ani uciążliwy. Rozsądna dieta jest tem czemś najbardziej zaniedbywanem i zupełnie nie branem w rachubę, nie wliczanem nawet w zakres środków kosmetycznych. Higjeniczna dieta — spoczywająca w waszych rękach, Panie — nie jest chyba kosztowniejsza od wybrednych i pikantnych smakołyków, które sprowadzają najczęściej niestrawności, odbijające się fatalnie na cerze.

Wybór rodzaju ruchu, gimnastyki i sportów zależy od środków finansowych przedewszystkiem, następnie od upodobań. Gimnastyka, sport pieszy nie wymagają żadnych wydatków; co innego już kosztowniejsze sporty.

Zniszczywszy legendę o luksusie kosmetycznym, dodam, że najżarliwiej zwalczają kulturę ciała jednostki — leniwe. Wolą one raczej zaniedbanie, aniżeli najdrobniejszy wysiłek, odruch woli, jakąś systematycznie przeprowadzaną czynność. Systematyczność i uporządkowanie czynności jest ich największym wrogiem.

Potrzebę kultury ciała pojmują i propagują inne narody w jak najszerszem słowa znaczeniu. Nie sięgając wstecz, do kultur starożytnych, spójrzmy na Amerykę lub chociażby Niemcy. Pojęcie: „socjalna kosmetyka" przeszło w czyn. Publiczne, bezpłatne pływalnie, kąpiele, natryski są na porządku dziennym. Przy wielu z tych zakładów, pomyślanych dla sfer robotniczych i niezamożnej inteligencji pracującej, istnieją działy kosmetyczne, gdzie uprawiany jest masaż i inne zabiegi, wspierane nowoczesnemi aparatami elektrycznemi i helioterapją. Bezpłatnie, lub w niektórych przypadkach za minimalnem wynagrodzeniem. W tych oświeconych społeczeństwach starania o ciało są czynnością obowiązkową i tak naturalną, jak oddychanie. A zaniedbanie ich nie znajduje wyrozumiałości i bywa nazywane po imieniu.

Pamiętajmy, że zdrowie i uroda są niezmiernie ważnemi czynnikami w walce o byt, o szczęście osobiste, do czego każdy ma prawo dążyć.

Gdy mowa o kosmetyce, nie sposób pominąć dzisiaj kwestji poprawiania wdzięków zabiegami określanemi słowem „maquillage". Piąty Almanach poświęca tej sztuce obszerny artykuł.

Problem malowania się i wyrównywania niedokładności twarzy jest dla Zachodu tematem dawno przebrzmiałym, nieaktualnym. Odkąd prawo obywatelstwa zostało tym zabiegom zapewnione — przestało to zajmować umysły ludzkie, wywoływać protesty, polemiki.

Historja kultury narodów upewnia nas wcale niedwuznacznie w tem, że ludzkość tęskniła od niepamiętnych, prehistorycznych czasów do piękna w każdej formie, a szczególnie do piękna ciała ludzkiego. Wiemy, że istniały środki piękności, maści, wody, barwiki, że sztuka malowania się i upiększania ciała traktowana była poważnie, jako rytuał w różnych hierarchiach społecznych, że hołdowały jej najwyższe kasty, nie wyłączając kapłanów. — Pozwólmy zatem i dzisiejszym kobietom szukać w kosmetyce dróg do podniesienia wdzięków, zwłaszcza że ujęła ją obecnie w ręce wiedza ścisła, a lekarze nie uważają za rzecz wstydliwą zajmowanie się temi sprawami. — Wierzmy, że kobieta taktowna i zrównoważona znajdzie właściwą drogę umiarkowania, że nie przesadzi w niczem, nie narazi się na zwracanie uwagi impertynencko umalowaną twarzą. Znajdzie dyskretną, estetyczną formę dbania o miły, wypielęgnowany wygląd. Zwłaszcza, że szał malowania się do przesady minął. Usta nie wyzywają purpurą, twarz różem i bielidłem, oczy podmalowaniem. Maquillage stoi pod znakiem umiarkowania. Usta na dzień lekko zaróżowione, a dopiero wieczorem czerwieńsze. Oczu, w życiu prywatnem, nikt nie poprawia. Trzeba iść z prądem chwili.

EFEB

PLOTECZKI O MODZIE

JESZCZE tkwimy głęboko w lecie, jeszcze wygrzewamy się w słońcu, kąpiemy, plażujemy, nosimy z rozkoszą duże kapelusze, powiewne suknie i najrozmaitsze odmiany materjałów bawełnianych — wyłącznie krajowego wyrobu — a już nurtuje nas niepokój: co moda jesienna z nami zrobi? Czy pozwoli utrzymać wdzięczną linję i wygląd młodociany, czy odrzuci to, co nas w nowościach letnich irytowało, bo — nadwerężało skromny budżecik? Co z garderoby będzie można zachować bez zmiany, co misternie przerobić, a co — z bólem serca — uznać za niemożliwe?

Chwytamy też skwapliwie każdą wiadomość, przeglądamy uważnie żurnale, które obok przewagi modeli letnich, przebąkują już wcale niedwuznacznie o jesieni... Pytamy znajome, które wracają z zagranicy: co *tam* noszą, jak się przedstawia moda jesienna?

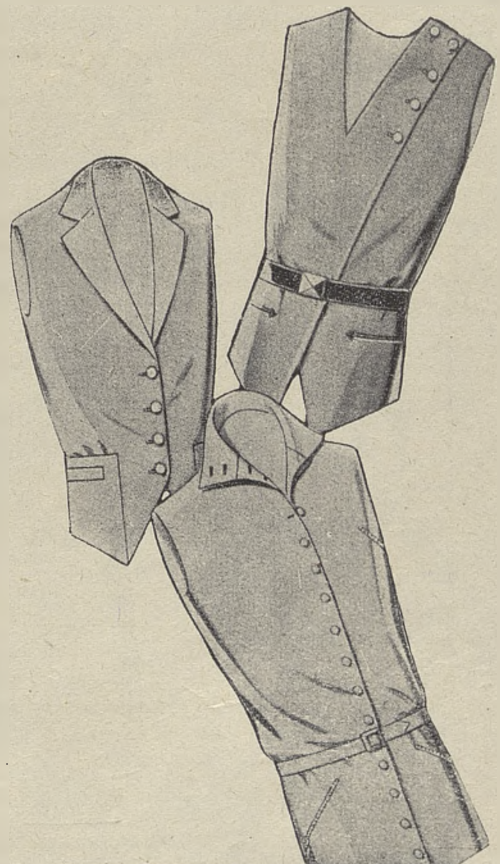


Rys. 1. — Modne przybrania z futra, do noszenia osobno: krawat z astrachanu, kołnierz-pelerynka z krótko strzyżonego futerka, kołnierz-szal z biberetów

Kapelusze jesienne — małe, odsłaniające czoło, zachodzące głęboko na kark i policzki. Berety, toczki, turbany, czapeczki i zgrabne kloszyki. Zatem — wszystko dobre znajome! Drobna zmiana w upięciu, nowa klamra, spięcie, węzeł lub kwiat — i oto nasz kapeluszyk z zeszłego sezonu przemienił się w nowy model. Czasem trzeba odświeżyć fason nad parą, odczyścić — ale to się przecież opłaci. Komu źle z czołem odsłonionem, może wysunąć falę włosów, a zboku zgrabny loczek, czyli, wolno nam znowu ukazywać włosy z pod kapeluszy. Z materjałów wymienimy: filc, jedwab, aksamit. Na berety: tweed, trykot wełniany w deseń, sznelkę. Nowością mile widzianą na beretach będzie opasanie stonowaną wstążką gros grain. Jest również zapowiedź dużych, aksamitnych kapeluszy na wieczór do toalet strojnych. Daje się też zauważyć tendencja do większego przystrajania kapeluszy ozdobnemi szpilkami, klamrami, kokardami, piórami i t. p.

Moda usiłuje nadal pozostać młodą — utrzymać niczem niezastąpiony wdzięk młodości. Mimo przydłużonej sukni, mimo skomplikowanego kroju i poszerzonego obwodu, wszystkie nasze suknie i okrycia zachowują mnóstwo młodocianych szczególików. Trzeba tylko umieć je wyzyskać. Prostota w linji i przybraniu, unikanie nadmiaru ozdób, kloszów i tego wszystkiego, co określamy jako „strojne" — zapewnia młodocianą sylwetkę. Układane fałdy, kontrafałdy, plisowanie są szczegółami korzystniejszemi od form kloszowych i dlatego moda powraca do nich, zwłaszcza o ile chodzi o suknie na codzień, na ulicę, sportowe. Dalej krótkie, luźne kamizeleczki i żakieciki, kołnierzyki z fontaziami, pas w pasie, skromne przybrania *lingerie*, guziczki, bluzeczki koszulkowe, pelerynki i wiele, wiele innych drobiazgów.

Nowa moda — dąży do uwydatnienia linji bioder i ramion. Ramiona poszerzamy pelerynkami, dużemi kołnierzami i innemi przybraniami, biodra obciskamy a dla zaakcentowania ich smukłości — poszerzamy znacznie dół. Ramiona muszą teraz być szersze od bioder. Pamiętajmy o tem — tylko wąskie biodra! Wiem, że zasmucę sporo moich Czytelniczek opisem tego nowego kaprysu mody, ale od czegoż mamy pełne zdradliwej finezji złudzenia optyczne? Sprytnie obmyślane modele unikające poszerzenia ramion, ale nie wahające się przed obciśnięciem bioder? Pelerynka może być, owszem, ale — tylko na plecach, pozostawiając ramiona wolne, czyli unikniemy w ten sposób ich poszerzenia.



Rys. 2. — Ciepłe kamizelki z wełny lub aksamitu

Zestawianie różnych gatunków materjałów — przybiera coraz śmielsze rozmiary i kształtuje się coraz fantastyczniej. Aksamit z wełną, wełna z jedwabiem, płaszczyk z tweedu do jedwabnej sukni, do wełnianych dżemperków jedwabne spódniczki, dżemperki z lamy do spódniczek z cienkiej wełny, jedwabny płaszczyk do wełnianej sukni i t. d.

Zestawianie sukien w dwóch kolorach lub z dwóch materjałów — staje się coraz popularniejsze. Jest to pomysł praktyczny, zwłaszcza gdy idzie o przeróbki, albo o rozjaśnienie ciemnego koloru. Przyczyniła się do tego także i „czarna" moda. Jak nam wszystkim dobrze wiadomo, czarny kolor rzadko którą z nas ubiera, a przedewszystkiem matowa czarna wełna. Ta nas wprost gasi; i nawet te panie, którym dobrze jest w czarnym aksamicie lub lśniącym jedwabiu połączonym z dekoltażem — nawet te w matowej wełnie wyglądają szaro i staro. Wobec zaś tego, że każda musi mieć czarną suknię — ustępliwa mowa pozwala ją łączyć z kolorami; przedewszystkiem z białym. Z początku tylko u szyi, później przyszły żabociki, przodziki, plastrony, a obecnie czasem do połowy

bioder asymetrycznie zacięta biel, czyli cała górna część sukni biała, dolna czarna, czasem biel przeważa jako ogólne wrażenie sukni. Widziałam np. taki uroczy model sukni wieczorowej z białej i czarnej tafty: staniczek biały, z prawej strony sięgający do pasa, a z lewej do połowy biodra; przyszyta doń długa do ziemi, czarna spódniczka, obciśnięta gładko na prawem biodrze, ujęta na lewem w bogatą draperję. Cała dookoła wykończona białą plisą biegnącą wgórę po stronie draperji.

Płaszcz-szal — zapożyczony od greckich draperyj, pojawił się jako wieczorowe okrycie. Tylko smukłe, słuszne panie mogą go nosić — o ile wogóle umieją obchodzić się z draperją, która wymaga dużej kultury ruchów i powagi gestu. Cienka, szlachetna wełna, np. kaszmir, albo miękki jedwab nadaje się jako materjał. Owijamy się weń w następujący sposób: od lewej strony w pasie, poprzez przód, dookoła i zpowrotem do punktu wyjścia, gdzie go spinamy agrafką; następnie zarzucamy na prawe ramię draperję — z pod której wysuwamy rękę — owijamy dookoła szyi i spuszczamy koniec zprzodu, po lewej ręce, którą również wysuwamy i w ten sposób przytrzymujemy draperję z obu stron, dłońmi odsłoniętemi do przegubów. Opis ten będzie jasny dopiero wtedy, gdy go wypróbujemy na jakimś materjale, wykonywując wiernie podane tu ruchy. Taki płaszcz-szal wygląda pięknie również jako domowy strój, oczywiście, nie do pracy. Ażeby draperja wypadła pięknie, materjał musi być tak szeroki, by sięgał do kostek.



Rys. 3. — Modne spódniczki do bluzek

Moda bez przesady — umiarkowana, skromna powinna być hasłem dnia. Wszystkie Polki, uświadomione społecznie, zrównoważone, rozumieją że w czasach zmagań się ekonomicznych w kraju nie wolno kobietom wyrzucać pieniędzy, lub co gorzej, zadłużać się na stroje. Można i nawet trzeba być ładnie ubraną, ale nie kosztem ofiar ponad stan. Moda podaje tyle modeli do wyboru, tyle odmian fasonów, że każda z nas może wybrać taki, który narazi ją na jak najmniejszy wydatek, pozwoli na przefasonowanie zeszłorocznych. A może i to zachęci panie do oszczędzania, gdy się dowiedzą o nowej formie snobizmu... Oto panie z arystokracji i z najwyższej finansjery opowiadają bez żenady: przerobiłam sobie suknię, moja pokojówka odświeżyła mi kostjum, uszyła bluzkę, ten płaszcz z materjału krajowego uszyła mi tania krawczyni w domu, ten kapelusz zeszłoroczny świetnie jeszcze wygląda. Zatem w modzie jest oszczędność i brak fałszywej wstydliwości na tym punkcie — w modzie u wszystkich narodowości. Nie zostaniemy w tyle — prawda?

CAILLER-SOBAŃSKA



Rys. 4. — Suknia jesienna tailleur, wykonana z tweedu. Krój jednolity, zapięcie zprzodu na guziczki



Rys. 5. — Szykowny kostjum z materjału marengo. Długi żakiet w stylu męskim; kołnierz z aksamitu



Rys. 6. — Płaszcz z popielatej wełny, przybrany zacięciami i guzikami. Kołnierz i mankiety z astrachanu



Rys. 7. — Płaszcz z fantazyjnej wełny, przybrany pelerynką i perskim barankiem

MODELE MÓD

LEKKIE SUKNIE Z WZORZYSTYCH MATERJAŁÓW



1107 1108 1109 1110

1107 Sukienka z etaminy. Stanik z białą kamizeleczką; wycięcie ozdobione przeciąganą wstążką. Spódniczka kloszowa.
1108 Sukienka z pelerynką osobno nakładaną. Spódniczka w dwa klosze.
1109 Sukienka z muślinu; pelerynka wykończona falbaneczką. Spódniczka kloszowa od góry, na biodrach przemarszczona.
1110 Sukienka z żorżety. Stanik ozdobiony falbanką, tworzącą rodzaj bolerka. Spódniczka kloszowa.

Nosimy wyłącznie krajowe wyroby!

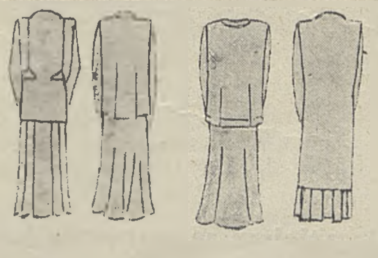


1111 1112 1113 1114

1111 Suknia ozdobiona zastebnowanemi fałdkami, rozchodzącemi się u dołu w spódniczkę.
1112 Suknia z panamy, ozdobiona zakładeczkami. Zprzodu spódniczki szeroki kontrafałd.
1113 Suknia z markizety ozdobiona zastebnowanemi kontrafałdami. Malutki karczek również odstebnowany.
1114 Suknia z kreponu. Kołnierzyk w formie falbanki i takież mankiety. Spódniczka dołem kloszowa, przemarszczona.



1115 1116 1117 1118



KOMPLETY I KOSTJUMY

1115 Kostjum z crêpe mongole. Żakiecik zbluzowany. Spódniczka w fałdy.

1116 Kostjum z aksamitu lub z miękkiej czarnej wełny. Wszystkie brzegi wykończone w ząbki. Żakiecik prosty. Spódniczka kloszowa.

NA CHŁODNIEJSZE DNIE

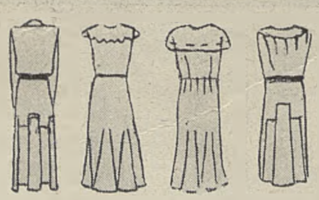
1117 Kostjum z wełny deseniowej. Żakiecik luźny, spódniczka kloszowa, oryginalnie zacinana.

1118 Komplet z jasnej wełny. Krój prosty. Sukienka ozdobiona stebnami.

SUKIENKI LETNIE DLA MŁODYCH DZIEWCZĄT



1119 1120 1121 1122



1119 Sukienka sportowa z jedwabnego płótna, krojem prostym. Zaprasowane i nastebnowane kontrafałdy.

1120 Sukienka z bawełnianej markizety, przybrana małą pelerynką, wykończoną zębami. Spódniczka kloszowa.

1121 Sukienka z żorżety. Pelerynka i spódniczka ozdobiona zakładkami. Spódniczka kloszowa.

1122 Lekka sukienka sportowa z płótna; okrągły karczek odstebnowany, bluzeczka w zakładeczki u góry. Spódniczka w kontrafałdy zastebnowane do połowy.

Najwdzięczniejsze są materjały krajowe!

Rys. 319. — MAKATKA DO DZIECINNEGO POKOJU. Aplikacja filcem i haft włóczką. Kolory: biały, popielaty, czarny, cytrynowy, pomarańczowy, zielony, niebieski, bronzowy.

Proj. Alina Manelska



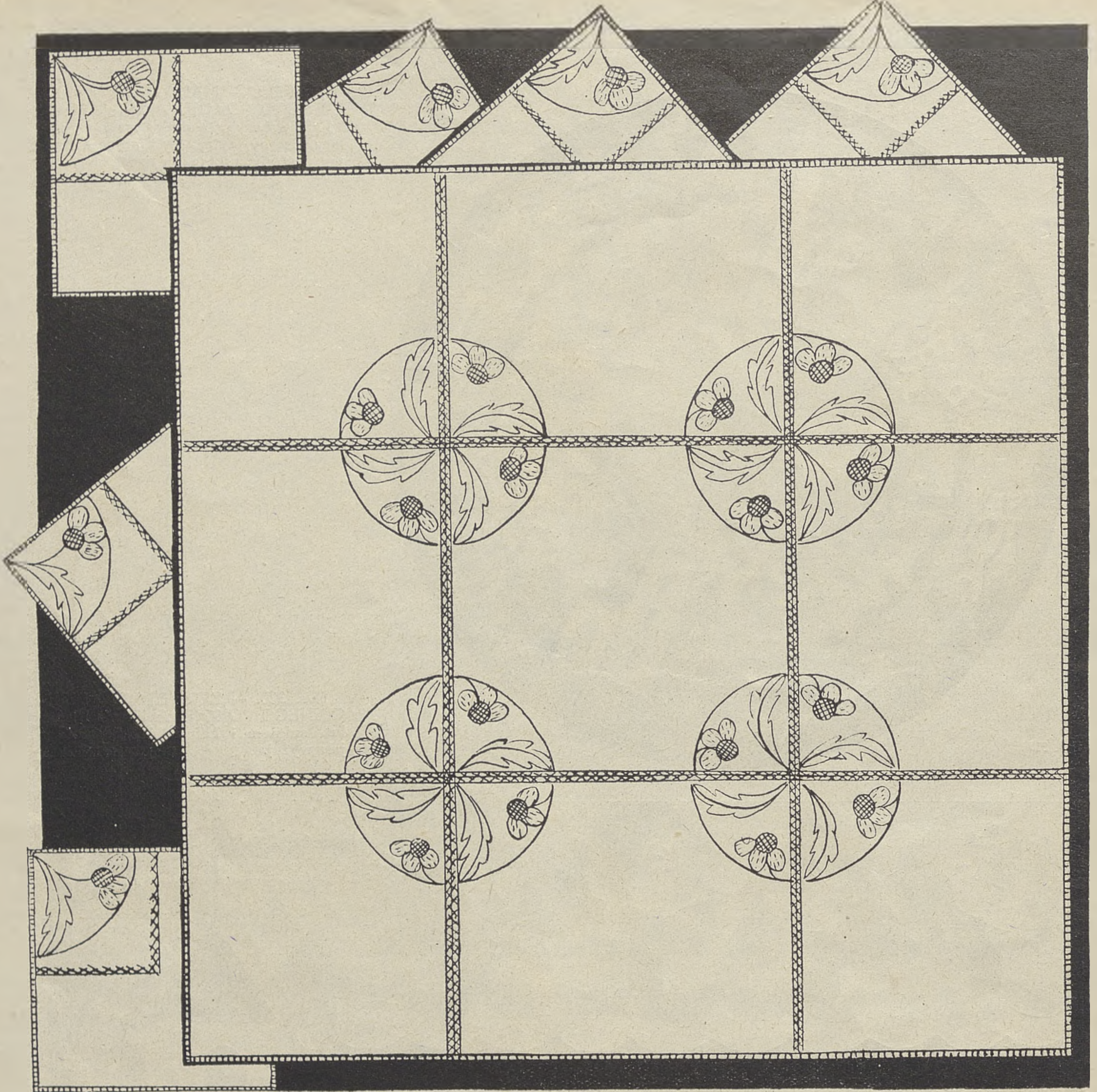
Rys. 319

Rys. 320. — SERWETA DO DZIECINNEGO POKOJU. Aplikacja filcem lub suknem i haft włóczką. Kolory jak wyżej.

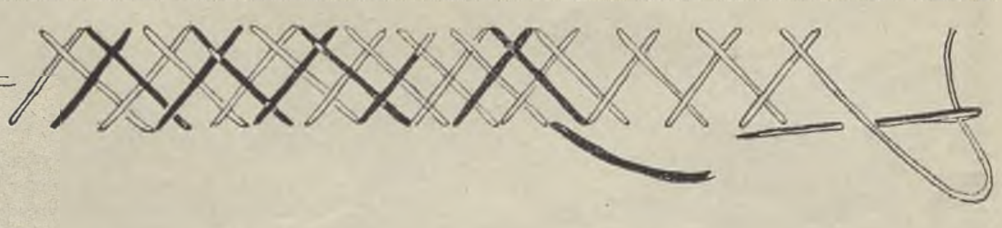
Proj. Alina Manelska



Rys. 320





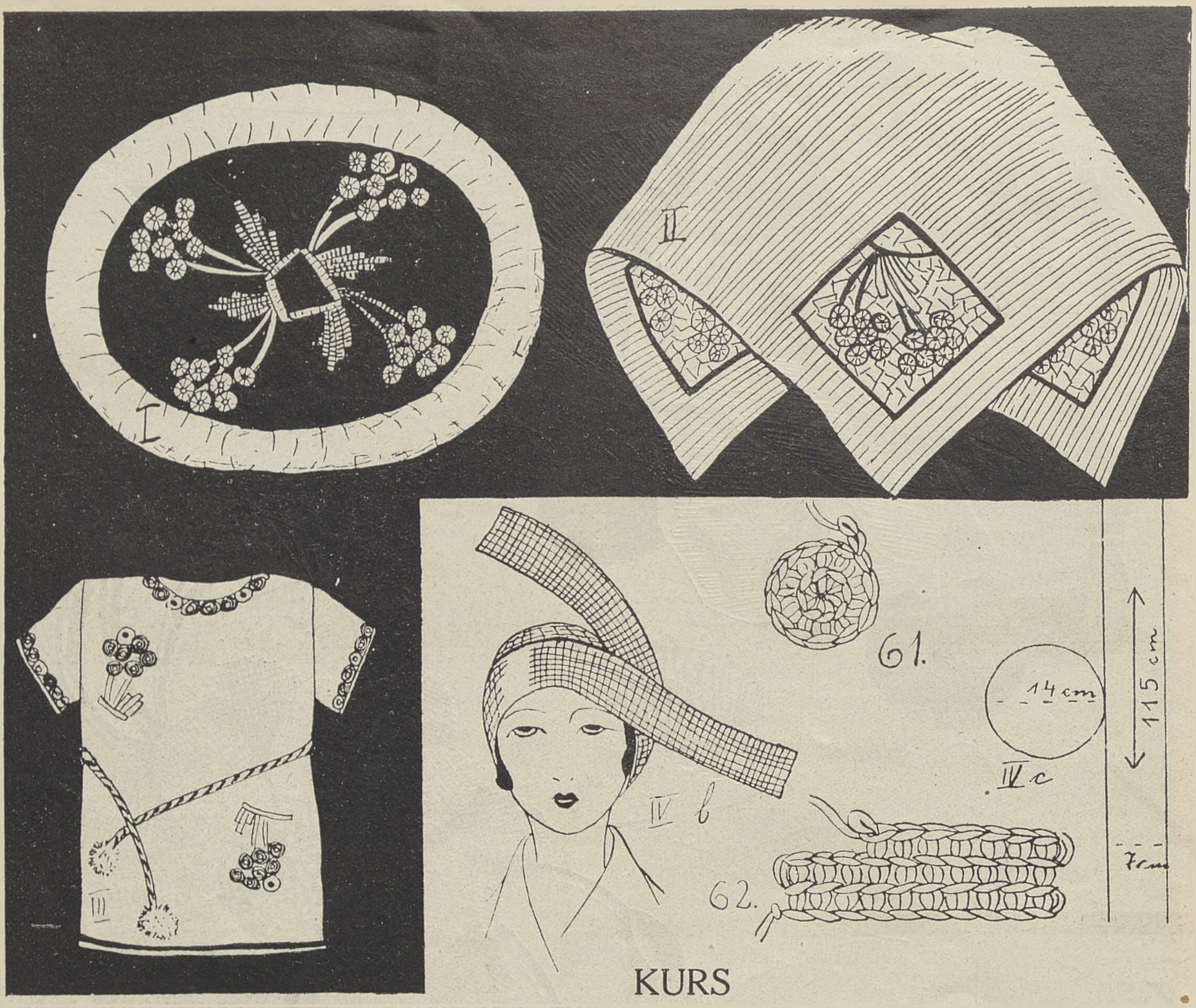


Rys. 321. — OBRUSIK OZDOBIONY ŁATWYM HAFTEM. Materjał: kolorowe albo białe płótno; kawałki łączone szwem. Sciegi: na pokrycie łączenia — ścieg krzyżowy (Janina) w 2 kolorach; kontury kół i środków — steben, liście — ścieg wodny (pocztowy), brzegi — dziergane w 2 kolorach. Kolory: na kontury — czarny, kwiaty — żółte, różowe, lila albo niebieskie, liście — zielone, łączenia i brzeg w kolorze liści i kwiatów. Nici — coton perlé nr 12.



Rys. 322. — KWIATY Z MATERJI. 1) Zeszyć kawałek materji, aksamitu albo jedwabiu (rys. 1); dołem zmarszczyć i wywrócić z jednej strony brzeg. Do środka pręciki ze skórki. Liście ze skórki, sukna albo aksamitu.

2) Wyciąć 2 krążki materji, jeden większy, drugi mniejszy, wykroić listki (rys. 4). Przyszyć jeden na drugi. Ukręcić środeczek z paseczka skórki zaciętej (rys. 3) i przyszyć. Z cienkiej materji można wyciąć kilka krążków. Pączki z listeczków, ujęte w kieliszek ze skórki, przyszyte na sznureczkach, łodygi z drutu, owinięte skórką.





KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO

Podajemy tutaj w jaki sposób można zastosować motyw rys. 60 z numeru 14. Wykonany czterokrotnie z jedwabiu zdobi poduszkę. Chustka, albo serweta, zrobiona ze słupków raz nawijanych ma jako przybranie kwadraty wstawione w rogach. Każdy kwadrat składa się z motywu połączonego z brzegiem za pomocą łańcuszka z oczek w powietrzu i ścisłych oczek. Sukienka dziecięca wreszcie ozdobiona dwoma motywami z kwiatuszków w różnych kolorach. Wycięcie szyi i rękawki wykończone również temi kwiatuszkami.

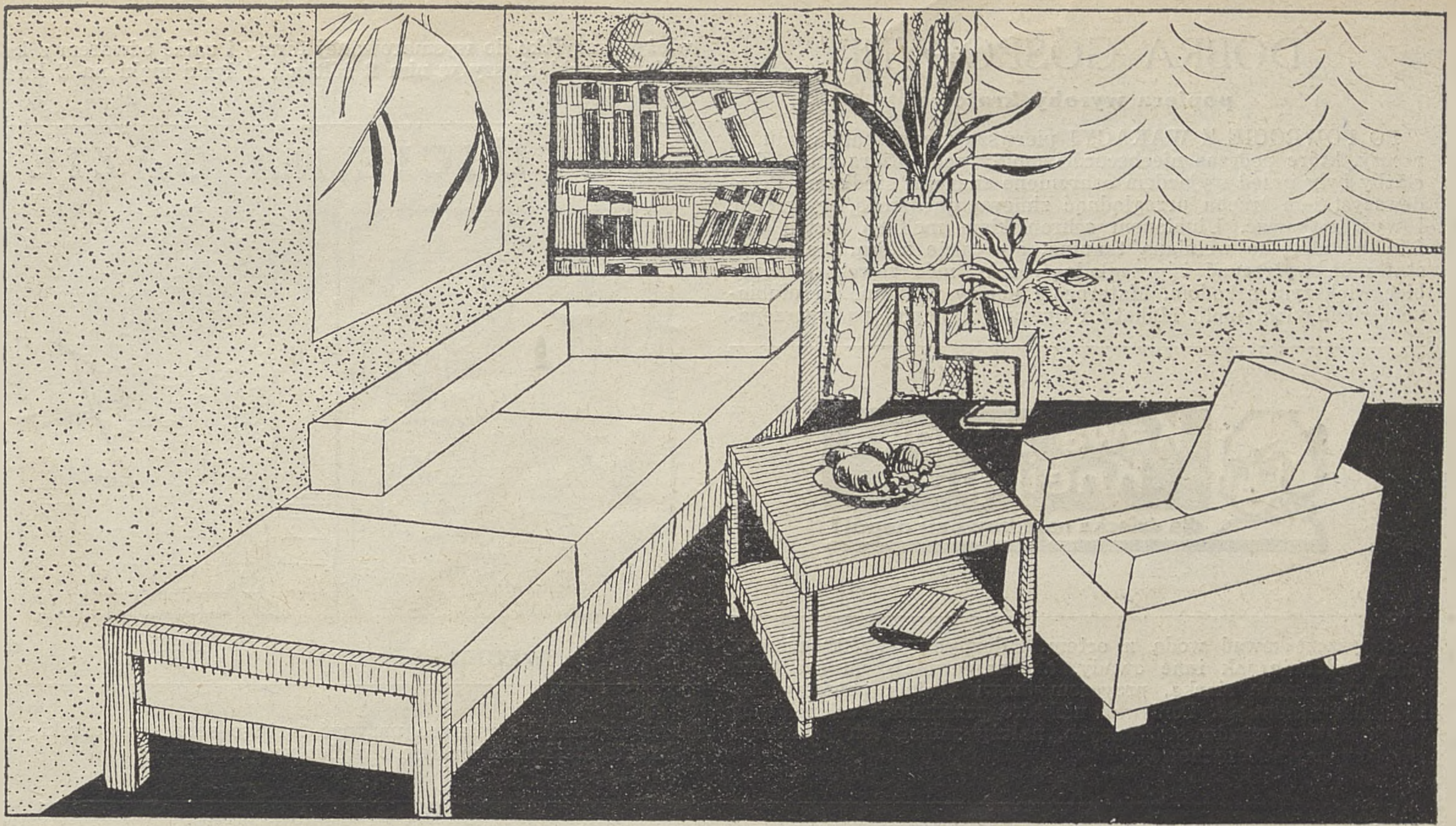
MODNA CZAPECZKA

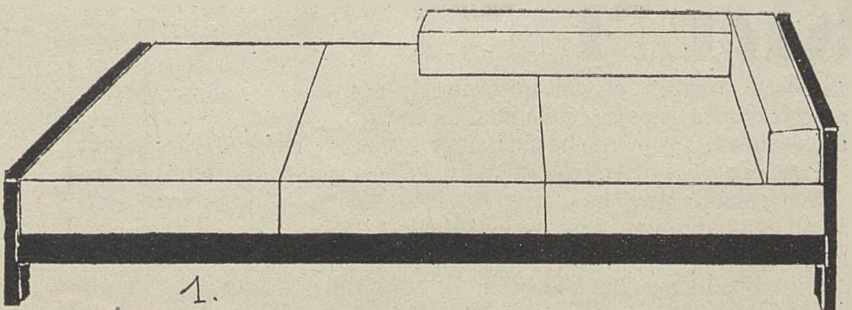
Na podróż, wycieczki i do sportu bardzo praktyczna czapeczka trykotowa wykonana szydełkiem albo na drutach. Składa się ona z krążka oraz opaski. Krążek robi się ze ścisłych oczek, dodając stopniowo, żeby go dostosować do kształtu głowy. Opaska szerokości 7 cm, a długości 115 cm, również robiona ze ścisłych oczek. Rysunek IV b uwidocznia, w jaki sposób układa się opaskę na głowie. Mianowicie po skrzyżowaniu na jednej stronie owija się ją wokoło, poczem chowa się końce pod spodem, rys. IV a. W tem miejscu można wpiąć agrafkę ozdobną. Po ułożeniu opaski na głowie należy ją dokładnie przypiąć do podłożonego krążka i po zdjęciu z głowy przyszyć niewidocznemi ściegami.

Chcąc wykonać tę czapeczkę na drutach można użyć ściegu perełkowego, t. j. 1 oczko gładkie, 1 nawywrót, w następnym rzędzie przestawiać oczka.

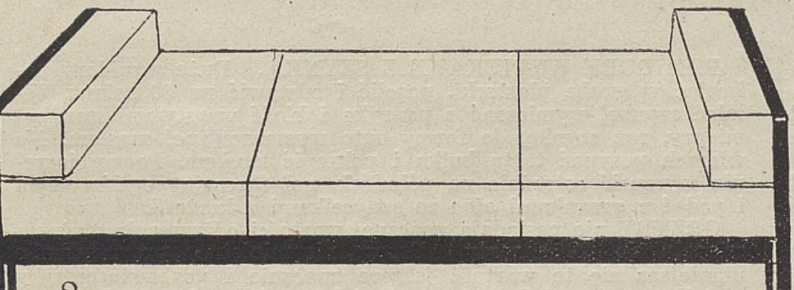
Jako materjał służy jedwab cieniowany albo mêlé, lub też włóczka różnokolorowa. Mieszanie włóczki z jedwabiem daje również piękne wyniki.

Z. KULCZYCKA

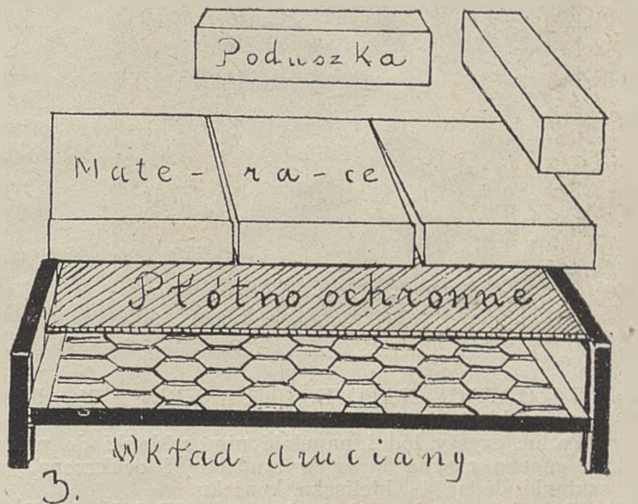




1.



2.



3.

KĄCIK PRAKTYCZNY

SOFA - ŁÓŻKO

Nowa moda w dziedzinie urządzenia mieszkań stawia nas przed problemem: jak stworzyć modne łóżko bez większych wydatków. Chcąc naszym Czytelniczkom ułatwić rozwiązanie tego zadania podajemy bardzo praktyczny, a przytem estetyczny, projekt.

Jako sztelaż może służyć łóżko, którego oparcia zostały skrócone. Przy wykonaniu tej zmiany należy się odrazu zdecydować, czy powstająca sofa ma mieć dwa oparcia po bokach, czy ma przypominać sofę „Empire", oczywiście zmodernizowaną. W pierwszym przypadku oparcia będą po obu bokach jednakowo wysokie (rys. 2), w drugim zaś jedno oparcie będzie przewyższało poziom siedzenia o wysokość poduszki (rys. 1).

Do tak przygotowanego sztelaża wchodzi wkład druciany, na nim zaś spoczywa grube płótno, chroniące materace przed szybkiem przetarciem się. Jeśli łóżko ma być stale używane, materace powinny być włosienne. Dla przygodnego używania np. jako łóżko gościnne, wystarczą materace z trawy morskiej albo z kapoku. Z tegoż materjału zrobione czworogranne poduszki. Pokrycie tak materaców jak i poduszek stanowi materja meblowa, a więc kreton, gobelin, ryps, plusz i t. p.

Wymiary zależą od łóżka, jakiem rozporządzamy, albo od wkładu drucianego. Dla osób średniego wzrostu wystarcza wewnętrzna długość 190 cm, szerokość wewnętrzna 85 cm. Wysokość materaców wynosi 15 cm, zaś poduszek 18—20 cm.

Sofa tego rodzaju jest daleko praktyczniejsza od sof i leżanek dawnego typu, gdyż wszystkie części dadzą się łatwo wyczyścić, przemienić i odświeżyć. Materace i poduszki łatwo wykonać własnoręcznie według wskazówek podanych w V. Almanachu „Świata Kobiecego".

Z. KULCZYCKA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

PO POWROCIE Z WAKACYJ pierwszą troską pani domu są rzeczy, które podczas nieobecności mogły paść ofiarą moli, chociażby były przed wyjazdem ochronione znanemi środkami. Przedewszystkiem trzeba przeglądnąć zimową garderobę, wytrzepać i wyszczotkować. Ulubionem schroniskiem moli są meble wyścielane nietylko wełnianą tkaniną, ale także skórą. Należy je starannie wytrzepać i przeglądnąć, żeby móc zawczasu zapobiec większym szkodom. Materace i kołdry wełniane są ulubionem siedliskiem moli. Makaty i dywany najlepiej po wytrzepa-

niu wyszczotkować wodą z octem. Rozpylony „Flit" niszczy mole podobnie jak inne owady, ale najpewniejszym środkiem jest wykadzanie siarką, przyczem drzwi i okna powinny być szczelnie zamknięte. Ponieważ niektóre przedmioty ucierpiałyby pod wpływem gazów siarczanych, należy zabieg ten powierzyć rutynowanej sile fachowej.

włożyć wszystko do wysmarowanej formy i zalać odwarem z kalafjoru, rozkłóciwszy w nim 2 żółtka i 2 łyżki mąki na 2 kwa-

terki odwaru. Na wierzch nasypać tartego sera szwajcarskiego, pokropić stopionem masłem i zapiec na rumiano.

CHŁODZĄCE NAPOJE. Ubić 3 żółtka z 7½ dkg cukru, zalać ½ l białego wina i zastudzić.

Potłuc czysty lód i napełnić nim szklanki do połowy. Dopełnić mocną czarną kawą wystudzoną i ocukrzoną. Do każdej szklanki dodać ½ kieliszka konjaku.

Napój z wina i cytryny. Ubijać miotełką ½ l słodkiej śmietanki i dodać stopniowo sok z 2 cytryn i ½ l białego wina oraz skórkę z cytryny i 20 dkg cukru. Całą czynność wykonywać na lodzie, aż mieszanina zamieni się w piankę.

GRZANKI Z PODRÓBKAMI. Zemleć podróbki na maszynce i dodać soli, pieprzu, szczyptę posiekanej naci pietruszki, posiekanych kaparków łyżkę i posiekaną sardelkę. Dusić wszystko na maśle, dodać 2 łyżki tartej bułki a po zdjęciu z ognia wymieszać z 1 jajkiem. Przygotować grzanki, t. j. plasterki bułki, zrumienione na maśle, posmarować powyższą masą, posypać tartym serem szwajcarskim i szybko zapiec. Podać z jarzyną albo z sałatą.

ZAPIEKANE RESZTKI CIELĘCINY. Posiekać resztki cielęcej pieczeni niezbyt drobno, wraz z ugotowaną marchewką i zieloną pietruszką. Stosownie do ilości mięsa dodać 1—2 jajka, tartej bułki, soli i pieprzu. Podzielić ugotowany poprzednio kalafjor na drobne różyczki, wymieszać ostrożnie z masą mięsną,

POMIDORY WYPIEKANE Z SZYNKĄ. Duże pomidory pokrajać w grube plasterki, posolić i odstawić na 30 minut. Zemleć szynkę, wymieszać z papryką i kłaść warstwami, raz pomidory, raz szynkę, do formy suto wysmarowanej masłem. Na wierzch posypać tartą bułką i pokropić masłem. Po wypieczeniu wyrzucić ostrożnie na półmisek, polać sosem pomidorowym i podać z grzankami albo ze sznycelkami z kartofli.

GRZYBY nie posiadają znacznej wartości odżywczej, gdyż zawierają do 90% wody. Przez nieumiejętne przyrządzanie umniejsza się tę wartość jeszcze znacznie i pozbawia grzyby nietylko części białkowatych ale także soli spożywczych i aromatu. Nie należy ich więc parzyć i odlewać wodę, a najlepiej dusić je we własnym soku z masłem, z cebulą i z innemi dodatkami jak pomidory, posiekana zielona pietruszka, sok cytrynowy i sól do smaku. Niektóre gospodynie parzą grzyby, jeśli nie są pewne ich nieszkodliwości. Jednakowoż zabieg ten nie zawsze jest pewny, a jeśli grzyby są dobre, obniża się ich wartość spożywczą, odlewając wraz z wodą sole spożywcze i witaminy. Nawet grzyby nietrujące nabierają właściwości szkodliwych jeśli stoją przez dłuższy czas, bowiem białko grzybów rozkłada się bardzo szybko. Dlatego należy spożywać tylko świeże grzyby i raczej wyrzucić pozostałe, aniżeli je odgrzewać. — Osoby o delikatnych narządach trawienia powinny unikać grzybów. Najłatwiej strawne są grzyby w stanie zmielonym; tyczy się to zarówno grzybów świeżych jak i suszonych. Aromat tych ostatnich daje się nawet intensywniej wyzyskać, jeśli używa się ich jako przyprawy w stanie sproszkowanym.

PIROG Z GRZYBÓW. Wymiesić ciasto z 50 dkg mąki, 12 dkg masła, szczypty soli i łyżeczki proszku drożdżowego. Połową tego ciasta wyłożyć formę suto wysmarowaną masłem, na to nałożyć grubą warstwę zmielonych grzybów przyprawionych masłem, solą i pieprzem oraz cebulą, nakryć drugą połową ciasta i wypiec bardzo powoli albo gotować w parze jak budyń.

TOWAROZNAWSTWO

Kukurydzy używa się w stanie młodym jako jarzyny. Kukurydza jest najsmaczniejsza, póki ziarnka są blado-żółte. Niewszystkim wiadomo, że w niektórych krajach jada się młodziutką i niedojrzałą kukurydzę, o białych jeszcze i miękkich ziarnkach, wraz z nasadą jako jarzynę, przyprawioną jak szparagi. Z jeszcze młodszej zielonkawej kukurydzy przyrządza się marynaty, dodawane do piklów.

Kartofle czyli ziemniaki odgrywają znaczną rolę w naszem życiu gospodarczem, dlatego należy odpowiedni dobór do najważniejszych starań gospodyni. Odmiany są różne, poznaje się je po kształcie i zabarwieniu skórki, która może być żółtawa, czerwona, fioletowa albo biaława. Miąższ jest biały lub żółtawy. Z wczesnych bardzo smaczne są „rogalki", tak nazwane z powodu kształtu podłużnego i lekko zgiętego. Do wczesnych należą także „amerykanki", duże i smaczne. Duże, fioletowe, mają zazwyczaj miąższ wodnisty i mniej delikatny; używa się ich więcej jako paszy dla bydła. Kartofle, łatwo pękające przy gotowaniu i sypkie — nadają się do mięsnych potraw i jako duszone kartofle. Jednakowoż na sałaty i do smażenia odpowiedniejsze są ziemniaki niepękające i nierozpadające się, o miąższu zwartym i gładkim w przekroju. Przed zakupem większych zapasów zimowych, dobrze jest ugotować małą ilość na próbę. Zimowe kartofle powinny być suche, gładkie, o nielicznych ale głębokich oczkach, bez wyrostków, chropawych miejsc oraz plam, jędrne w dotknięciu, a soczyste w przekroju. Gdy się przekrojone połówki pociera o siebie, powinny się natychmiast mocno spoić. Czerwone ziemniaki są odporniejsze na mróz, co można wyzyskać, jeśli piwnica nie jest dość ciepła. Przemarznięte kartofle mają smak słodkawy, w wyższym stopniu zmarznięte wydzielają brunatny sok, zaś zupełnie zmarznięte są miękkie. Nie można polecić żadnej odmiany jako najlepszej, gdyż jakość kartofli zależy w wysokim stopniu od gleby i uprawy, a więc jeden gatunek może mieć różne właściwości w różnych okolicach.

Aktualne uwagi

(Higjena urody w lecie).

Wiadomo czytelnikom z poprzednich artykułów o niszczącem działaniu słońca na skórę twarzy. Stosując kąpiele słoneczne ciała, rozpoczynamy od paru minut, czem pobudzamy cały organizm do żywszej przemiany materji a zatem i do ożywienia skóry ciała oraz twarzy, aczkolwiek ją zakryjemy. Twarz zaś stanowi zbyt małą powierzchnię, aby nieznaczna ilość energji światła zadziałała skutecznie na żywotne narządy organizmu, a nadomiar złego — wysilają się ożywcze gruczoły twarzy doszczętnie. Naświetlanie kremem natłuszczonej twarzy jest zgubne, ponieważ odpada moment przekrwienia. Skutki naświetlania twarzy objawiają się już w jesieni: wysuszona, chropowata i zgrubiała twarz marszczy się przedwcześnie. Złudne jest zatem początkowe ożywienie cery. Jednem słowem: chronić twarz przed działaniem słońca, pudrując ją w lecie obficie nieszkodliwym roślinnym pudrem. Polecić mogę jedynie puder egzotyczny Dra Lustra i to kolory: naturalny, rachel-soleil, bananowy, różowy lub brun. Zniszczoną słońcem cerę ożywia się, naparzając twarz natłuszczoną ożywczym kremem „Oxa" Dra Lustra, wedle załączonego przepisu, podobnie jak starzejącą się cerę. 1108

1108 Dr Z. B.

swym charakterystycznym aromatem. Brunatne plamy na pietruszce zwiastują szybkie gnicie; takie korzenie nie nadają się zatem do przechowania.

Koper należy do przypraw i łatwo da się odróżnić.



Bulwy — są to, jak już nazwa wskazuje, zgrubienia korzenia rośliny rzadko u nas uprawianej. Podobny jest czyściec bulwiasty. Oba gatunki jarzyny są podobne w wyglądzie i w smaku do ziemniaków i mogą je zastąpić w razie potrzeby.

Papryka dostarcza nietylko ostrej przyprawy, ale także jarzyny pod postacią strączków niedojrzałych albo napół dojrzałych, które się nadziewa różnemi farszami. U nas udaje się tylko w okolicach ciepłych i słonecznych, a sprowadzamy ją głównie z Węgier.

Pietruszkę uprawia się dla korzenia i dla naci. Istnieją dwie główne odmiany, jedna o gładkich listkach, druga o listkach fryzowanych, używanych głównie do ubierania potraw. Odróżniamy pietruszkę t. zw. cukrową o słodkawym i grubym korzeniu od pietruszki ostrej, której korzeń jest dłuższy a cieńszy. Pietruszka jest podobna do szaleju, a odróżnia się od niego

Letnie wycieczki — Week-end.

...Oczywiście i wczesną wiosną jeździło się tam od czasu do czasu. Przyjemnie było także posiedzieć chwilę na tarasie w porze obiadowej. Ale prawdziwie przyjemny jest powrót do miejsca, z którem wiąże nas wiele mile spędzonych godzin, w pierwszy słoneczny ciepły dzień wiosenny, jaki można przebyć na łonie natury. Ach! wieleż tam jeszcze dokupić. Może kilka firanek, barwnych poduszek, obicie na szezlong, kolorowe serwety — a zresztą, czyż można wszystko przewidzieć. W każdym razie zachowajcie w pamięci, że barwne przedmioty z lnu, bawełny, bądź też sztucznego jedwabiu, które narażone są na działanie promieni słonecznych, a częstokroć i deszczu, muszą być farbowane barwnikami indanthrenowemi. W przeciwnym razie przedmioty te płowieją, ścierają się i tracą kolor po praniu jeszcze przed rozpoczęciem lata.

NADESŁANE WYDAWNICTWA

Henry Barthez: K l e o p a t r a, powieść. 1930.

Sinclair Lewis: M a n t r a p, powieść. 1930. Z cyklu „25 arcydzieł ostatniej doby". Obie książki pojawiły się nakładem Instytutu Wydawniczego „R e n a i s s a n c e", Warszawa. — Zajmująca treść, a nadewszystko wzorowe i przepiękne tłumaczenie Czesława Jastrzębiec Kozłowskiego, którego wytworny styl i czystość języka polskiego znane są czytelnikom — oto wartości zachęcające do lektury.



1073

Wydawnictwa K s i ę g a r n i ś w. W o j c i e c h a, P o z n a ń, 1930.

Chesterton: N i e d o w i a r s t w o k s i ę d z a B r o w n a.

Ejsmond: M o j e p r z y g o d y ł o w i e c k i e.



1095

Ejsmond: P o d l i p ą c z a r n o l e s k ą.
Bordeaux: M i ł o ś ć u c i e k a.
Jeleński: O s i ó d m e j g o d z i n i e.
Laurentin: M i ł o ś ć P o n c j u s z a.
Miłaszewska: C m e n t a r z i s a d.
Orczy: E l d o r a d o.
Książkom tym poświęcimy kolejno szczegółowe recenzje.

Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie. — Treść nru 7—8: Dr. J. Reiss: Czy to nie wstyd? — k. w.: U Stefana Grabińskiego (wywiad). — C. Jellenta: Królowie Jazz i Dawid. — L. M. Onyszkiewiczowa: Marcelina Sembrich - Kochańska (list z Ameryki). — Cz. J. Kozłowski: Marginalia. — O. Ortwin: Zgon Maryli Wolskiej. — St. Kazuro: Z ruchu muz. w Warszawie. — Dr. St. Łobaczewska: Nowe wydawnictwa muzyczne. — J. E. Płomieński: Przeglądy literackie. — I. Wieniewska: Ze sceny. Poezja. Malarstwo. Juljan Ejsmond. — K. Czachowski: Trzy powieści biograficzne. Kronika. — Z prawdziwą radością stwierdzić nam przychodzi piękny rozwój tego czasopisma pod świetną redakcją Władysława Gołębiowskiego.

Ks. J. Makłowicz: „O z n a c z e n i u m o r z a d l a P o l s k i". Poznań 1930 r. Cena zł. 1,20. — W szeregu broszur na obchody okolicznościowe, wydał ks. J. Makłowicz aktualną broszurę „O znaczeniu morza dla Polski". W obszernym wykładzie uzasadnia autor konieczność posiadania morza, korzyści jakie nam ono daje dla rozwoju przemysłu, handlu, kultury i znaczenia politycznego.

M. Ulanicka. P o r a d n i k s ł u ż b y d o m o w e j. Wyd. M. Arcta, Warszawa. — Pożyteczna ta książka omawia wzajemne stosunki służby i pracodawców, oraz obopólne obowiązki. Niedoświadczonym paniom domu oddać może wielkie przysługi.

Numer lipcowy miesięcznika: **Organizacja gospodarstwa Domowego** zawiera następujące artykuły: I. Szumlakowska: Nakrywanie do stołu; Inż. L. Laskowska: Ogólne uwagi o przetwórstwie domowem; M. Ankiewiczowa: Walka z robactwem; F. Damański: Pektyna — żelatyna roślinna; M. Morzkowska: Przetwory domowe; Uniwersalny kredens kuchenny; Współpraca Czytelniczek; Kronika; Przegląd czasopism.



1116

ODPOWIEDZI REDAKCJI

JADZIA Z BRZEŚCIA. — Nie wiemy gdzie można nabyć wspomniane przez Panią pigułki przeciw otyłości, a wogóle żadnych tego rodzaju preparatów nie polecamy. W kwestji pozbywania się otyłości były w naszem piśmie artykuły i odpowiedzi wyjaśniające tę sprawę i pouczające, że bez porady lekarskiej nie należy niczego stosować. Szkoda, że Pani nie czyta czasopisma uważnie. Jednocześnie pozwolimy sobie zauważyć, że we Lwowie przy ul. Chorążczyzna 27 mieści się dwutygodnik „Świat Kobiecy", a nie pismo, które Pani wymieniła w adresie.

M. A. — Pytanie Pani nie nadaje się do odpowiedzi w druku. Pozatem redakcja naszego pisma nie zajmuje się leczeniem i radzi udanie się z tą sprawą do lekarza chorób kobiecych.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34